Nr. 130. Lwów — Piątek dnia 9 Czerwca. Rok 1893.

Wychodzi w dni powszednie o godz. 4. po południu.

Cena prenumeraty we Lwowie:
Bez dostawy miesięcznie 75 ct.
Z dostawą do domu „ 1 złr.

Prenumeratę miejscową przyjmują:
Biuro dzienników ul. Karola Ludwika l. 9.
Trafika przy ul. Karola Ludwika l. 5.
„ J. Ważnego przy ul. Czarnieckiego l. 2.
„ przy ul. Słowackiego (obok łaz. D ..y)
„ Niemojowskiego ul. Jagiellońska l. 6.
„ Niżałowskiego Hotel Żorża.
Prenumerata z dostawą do domu we Lwowie należy składać w Biurze Dzienników ul. Karola Ludwika l. 9.

Numer kosztuje 4 ct.

PRZEGLĄD

POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Cena prenum. na prowincyi.
Miesięczne złr. 1.10 | Półroczne złr. 6
Kwartalne „ 3— | Roczne „ 12
Za zmianę adresu opłaca się 20 ct.
Prenumeratę należy przesyłać przekazami. Do przesyłanej w kopertach pieniężnych należy dodawać 5 ct.

CENA OGŁOSZEŃ
Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy:
Wiersz petitowy albo jego miejsce . . . 10 ct.
W „Drobnych ogłoszeniach" za każde słowo drukiem petitowym po . . . . 2 „
zaś tłustym garmondem po . . . . 4 „
Korespondencye prywatne za każde słowo drukiem petitowym po . . . . . 4 „
Nadesłane na trzeciej stronicy:
Ogłoszenia, wiersz petitowy albo jego miejsce 30 ct.
Reklamy . . . . 25 „
Nekrologia . . . . 20 „
Ogłoszenia do „Przeglądu" przyjmuje „BIURO DZIENNIKÓW" ul. Karola Ludwika Nr. 9.

Dziś: Serce Jezusa | Nykity Prep.
Jutro: św. Małgorzaty | Fteodozyi

Adres Redakcyi i Administracyi: Ulica Sykstuska l. 45.

Naczelny Redaktor i Wydawca: Ludwik Masłowski.

Wschód słońca g 4 m. 6
Zachód „ „ 7 „ 51

Długość dnia g. 15 m. 45
Przybyło dnia od wczoraj 2 m.

Przegląd polityczny.

Lwów 8 czerwca.

Było do przewidzenia, że bismarkowscy mamelucy wyzyskają przemówienie hr. Kalnoky'ego na niekorzyść Austryi. Niegdyś żelazny, a potem gderliwy kanclerz, usunąwszy się do swej pustelni, począł okazywać nienawiść do Austryi, z czem przedtem się taił. Często dowodził, że Niemcy nie potrzebują sojuszu z naszą monarchią i że ona ekonomicznie wyzyskuje zjednoczone Niemcy. Teorya ta trochę się przyjęła i teraz właśnie, z powodu przemówień hr. Kalnoky'ego wystąpiła silnie. Liberalni mamelucy Bismarka liczą na to, że przy sposobności militarnego projektu wejdą do parlamentu w swej dawnej sile i poczną znowu trząść po swojemu całem państwem. Więc oczywiście chcieli, aby wszystko, co się teraz dzieje w Europie, było wodą na młyn zwolenników militarnego projektu, a więc pośrednio wodą na młyn liberałów. Tymczasem hr. Kalnoky poważył się wierzyć w pokojowe stosunki i mówić o tem publicznie. Jest to oczywista zdrada, psucie interesu militarzystom niemieckim, więc i berlińskiemu rządowi. Zatem Austrya jest złym sojusznikiem, a skoro tak, to można z nią zerwać. Niech ona probuje pogodzić się z Rosyą, a tę samą próbę zrobią i Niemcy, tylko pewnie z lepszym skutkiem i niezawodnie z ogromną radością Włoch. Tu następuje całe rozumowanie *National Ztg*, podane we wczorajszych telegramach. Gdyby się stało podług gniewnego życzenia tego monitora niemieckich liberałów, toby już dziś nie było trójprzymierza. Ale rząd berliński niezawodnie rozumuje inaczej. On pamięta, że Bismark, zanim przyjechał do Wiednia i Andrassy'emu zaproponował zawarcie sojuszu, długo starał się ukoić gniew caratu o berliński kongres, długo usiłował nawiązać z Rosyą dawne stosunki, a gdy się przekonał, że to jest absolutna niemożliwość i że Niemcom grozi nieubłagana wojna na dwóch frontach, wówczas jak piorun spadł do Wiednia i naglił o sojusz, a zawarłszy go, dopiero odjechał z lekkiem sercem i z przekonaniem, że Niemcy nie znajdą się w wojennych kleszczach. Odtąd w ogólnym rozkładzie stosunków i interesów nic się nie zmieniło, więc i dziś Niemcy nie mogą tak zaprzyjaźnić się z Rosyą, aby uczynić ją obojętną na los Francyi, jak to było w roku 1870—71. Stosunki na bałkańskim półwyspie już się tak ustaliły, że ostatecznie Austrya może zostawić obronę tamtejszych spraw od rosyjskiej napastliwości Bułgarom, mającym 150.000 wojska, Turkom, reformowanym militarnie bardzo dobrze, wreszcie Anglikom, natomiast nie ulega prawie wątpliwości, że upadek trójprzymierza wnet obudziłby we Francyi dążenie do odbioru Alzacyi i Lotaryngii. Zadanie to byłoby dziś możliwe, bo Francya jest przygotowana i Niemcy mówią, że przygotowana lepiej od nich, czem też tłómaczą potrzebę powiększenia armii, a Włochy nie pójdą z Niemcami, bo nie miałyby zabezpieczonych brzegów od francuskiej floty, jak dziś je mają w skutek należenia Anglii do trójprzymierza w roli cichego wspólnika. Niewłaściwe są tedy pogróżki liberałów niemieckich, ale i bezzasadne, bo hr. Kalnoky powtórzył tylko to, co i Caprivi mówił, mianowicie, że dziś sytuacya jest pomyślna, ale za jutro ręczyć nie można i dlatego zbrojności nietylko zaniedbywać niepodobna, ale owszem trzeba ją rozwijać podług możności. Prawda, że prasa rosyjska i francuska wyzyskała przemówienie hr. Kalnoky'ego w sposób działający niekorzystnie na wyborcze szanse militarnego projektu w Niemczech, ależ to nie jest winą hr. Kalnoky'ego. Przecież nie wolno mu fałszować obrazu ogólnej sytuacyi dlatego tylko, że to byłoby na rękę militarzystom niemieckim. Zresztą, kto nie chce wyzyskiwać przemówień austryackiego ministra dla agitacyi za militarnym projektem, albo przeciw niemu, lecz rozważy je spokojnie i bezstronnie, ten przyzna, że w nich może jest zawiele tego, co monachijska *Allg. Ztg.* nazwała „austryacką Gemüthlichkeit", zawiele optymizmu i wiary w pokojowość caratu, ale nic niezgodnego ze stanowiskiem państwa, należącego do trójprzymierza. Krucyata liberałów niemieckich przeciw Austryi będzie niezawodnie zrozumiana w Berlinie za objaw bismarkowskiej ansy, czem jest w istocie, i nie wpłynie na zmianę usposobień, zwłaszcza, że w delegacyach bardzo serdecznie mówiono o trójprzymierzu, jako o związku, który wszedł w krew narodów sprzymierzonych mocarstw.

Gdyby się ściśle trzymano zwyczaju, że narodziny każdej idei, później bardzo rozpowszechnionej i spopularyzowanej, powinny być obchodzone uroczyście, to właśnie dziś święcilibyśmy pięćdziesięcioletni jubileusz pierwszego parlamentarnego policzka. Ten „rękoczyn", jak mówią lekarze, wzbogacił zasób przekonywujących argumentów, był więc wynalazkiem godnym miana idei. A odkrycie to zrobiono w postępowej Ameryce, mianowicie w waszyngtońskim kongresie, którego członkowie, ludzie bez przesądów i bardzo bystrzy w ocenianiu doniosłości każdego pomysłu, wnet zrozumieli dzielność nowego środka dyskusyi i odrazu rozwinęli go w całej pełni, bo się pobili kapitalnie. Zacofana Europa przyjęła wówczas wiadomość o tym wynalazku z oburzeniem, a Metternich podobno zawołał: „Oto, od czegośmy uchronili starą cywilizacyę, pokonawszy rewolucyę francuską!" Był krótkowidzem i zacofańcem. Nie przewidywał, że w pięć lat później położone będą w środkowej Europie fundamenty pod parlamentarne systemy, a w tych parlamentach z czasem się rozpowszechni amerykański sposób argumentowania. Dziś wiele izb deputowanych mogłoby na znak uroczystości jubileuszowej zawiesić posiedzenia i odbyć bankiety na cześć parlamentarnego policzka. Godna jest także uwagi okoliczność, która pomogła członkom amerykańskiego kongresu odkryć tak znakomity środek dyskusyi. Nadeszła wówczas do Waszyngtonu wiadomość, że Irlandya gwałtownie domaga się samorządu, zupełnie jak dziś, a oranżyści ulsterscy, również jak dziś, zapowiedzieli manifestem, że przeciw temu samorządowi wystąpią z bronią w ręku; dalej wiadomość ta opiewała, że ówczesny „niekoronowany król" irlandzki O'Connel zbiegł z więzienia, z którego miał pójść na szafot, czego energicznie domagały się loże oranżystowskie i londyńska City. Waszyngtoński kongres, w którym, jak i dziś, zasiadało sporo przyjaciół Irlandyi, przyjął tę wiadomość z ogromnem wzruszeniem. Jedni bili brawo, inni wołali: „skandal!" Trzeba tu zauważyć, że pięćdziesiąt lat temu, żywiej niż teraz odczuwano w Stanach Zjednoczonych wypadki angielskie. Ta ogromna republika jeszcze się głównie składała z wychodźców brytańskich, którzy ze starego kraju przynosili ze sobą wszystkie namiętności; później dopiero zaczęły napływać wielkie tłumy emigrantów niemieckich, skandynawskich i holenderskich i one to przyczyniły się do wytworzenia typu specyalnie amerykańskiego; południowe Stany, główny przytułek francuskich i włoskich wychodźców, stanowiły jeszcze prawie osobne państwo, a północne były jakby filią Anglii i odbiciem wszystkich prądów, które w niej powstawały. Miały tedy północne Stany zaciętych Irlandczyków i gorliwych zwolenników jedności brytańskiej. Tam nawet była główna rezerwa dwóch tajnych stowarzyszeń, które wówczas wstrząsały Anglią i Irlandyą, mianowicie tam był skarb i kadry lóż oranżystowskich i irlandzkich fenian. Nic tedy dziwnego, że przytoczona wyżej wiadomość z Anglii silnie poruszyła członków kongresu. Jakiś zwolennik jedności brytańskiej, którego nazwiska nie przechowała historya, nazwał Irlandczyków hołotą, a wtedy jego sąsiad, emigrant irlandzki Brownsfort dał mu policzek. Między nimi wnet powstała bójka, do której przyłączyli się wszyscy członkowie kongresu, nawet przewodniczący i sekretarze, a w końcu nawet woźni i protokolanci. Bitwa była bardzo siarczysta i tak w skutkach dosadna, że trzeba było posiedzenia odroczyć na dni dziesięć, aby szermierze z ran się wyleczyli. Później jakiś humorysta amerykański rzekł, że gdyby nie ta bitwa, toby Amerykanie nigdy nie poczuli w sobie wojennego animuszu i w kilkanaście lat potem nie rozpoczęliby tak zwanej secesyjnej wojny ze Stanami południowymi. Tak małe wypadki prowadzą do wielkich.

Policzek parlamentarny bardzo się rozpowszechnił, urozmaicił i udoskonalił na gruncie europejskim. Dziś ze wszystkimi dodatkami swymi stanowi on silny i popularny argument, którego chętnie używają deputowani, wyznawcy nader jędrnych przekonań. Więc choć może nikt nie wspomni o dzisiejszym jubileuszu, bo na świecie rzadko kiedy uczczona bywa prawdziwa zasługa, my na tem miejscu zapisujemy tę jubileuszową datę, aby nie zaginęła w powodzi wrażeń.

Plan nauki języka polskiego.

III.

Jak dalece nowy plan nauki języka polskiego jest tylko tłómaczeniem na polskie takiegoż planu nauki dla języka niemieckiego, dowodzi przepis na stronie 2 i 42 p. t. „Ćwiczenia ortograficzne."

Że w języku niemieckim są dla początkujących bardzo wielkie trudności ortograficzne, tego nie przeczymy. Wszak są tam wyrazy piszące się przez aa, ee, oo; to znowu przez nieme h, inne inaczej się wymawia a inaczej pisze jak: i, ie, ai, ei, eu, au; jeszcze inne podwajają spółgłoski: bb, ck, ff, gg, pp, rr, ss, tt; są też co brzmią podobnie np. f i v i ph. Nim dziecko te trudności pokona, nim sobie przyswoi pewność, jak wyraz w każdym wypadku pisać należy, potrzebną jest pewna mechaniczna wprawa w pisowni, jak też i te wyrazy piszące się różnie lub podobnie nie podlegają żadnym prawie prawidłom, są zabytkiem dawniejszej pisowni niemieckiej. Powtarzamy, że całkiem na swojem miejscu jest zarządzenie niemieckiego planu, aby rzeczy mechanicznych uczyły się dzieci mechanicznie, i stąd racya dyktatów niemieckich w klasie Iej gimnazyalnej, a nawet w IIej.

Skąd atoli w języku polskim potrzeba takich dyktatów, tego inaczej zrozumieć trudno, jak dosłownym przekładem planu języka niemieckiego na polskie i przykrojeniem go żywcem i we wszystkich częściach do nauki języka polskiego w gimnazyach galicyjskich. Wszakże podobno u nas zasada pisowni brzmi: „Tak pisz, jak słyszysz, bo wyrazy tak się piszą, jak je wymawiamy." A wobec takiego ułatwienia rzeczy przez sam język czy nie jest stratą czasu dla stylistycznego wyrobienia uczniów gimnazyalnych zajmować im dwa półrocza klasy pierwszej, jedno a w razie uznania przez nauczyciela (choćby dla łatwiejszych korektur), nawet oba półrocza klasy drugiej dyktatami? Przepisuje plan nowy systematykę dyktatów; pytamy się, jaką? na jakiej zasadzie pisowni? Aby dobrze położyć ż i rz, w których błądzimy do późna, na to trzeba nauki głosowni i etymologii; aby dobrze położyć znaki pisarskie, na to potrzeba dobrej znajomości budowy zdań złożonych współrzędnie i podrzędnie; aby dobrze położyć średnik lub dwukropek, na to trzeba już dłuższej wprawy i stylistycznego wyrobienia. Czy do tego doszli uczniowie klasy Iej? Czy dyktaty znaczą tyle, co stylistyczne wyrobienie, o tem bardzo powątpiewamy. Cel zatem nauki i środki wzajemnie się wykluczają, a to tem bardziej, że na str. 34 przepisuje Plan nowy: „W dwóch najniższych klasach niepodobna nauki gramatyki traktować inaczej, jak w sposób empiryczny, dyktaty zaś, które są na tej oparte nauce, mają być tylko systematyczne." „Ćwiczenia ortograficzne tylko wtedy odniosą pomyślny skutek, jeżeli prowadzić się je będzie systematycznie." (Str. 42). Jak te przepisy pogodzić? Owszem niechaj od klasy Iej piszą uczniowie wypracowania, jak łatwiejsze reprodukcye, opisy, opowiadania, [illegible] zaznajamiając się z trudnościami rzeczowemi i stylistycznemi, czuwać będą i nad stroną ortograficzną swoich wypracowań, zaś nauczyciele będą mieli sposobność wytykania zarazem błędów przeciw pisowni.

Zresztą przez egzamin wstępny do kl. I gimnazyalnej uczeń nie przejdzie, który dyktat bardzo błędnie napisze; ci, co dyktat bezbłędny lub z niewieloma napisali błędami, a skutkiem tego znaleźli się w gimnazyum, na co mają pisać choćby przez 5 miesięcy dyktatów około 20, w roku szkolnym około 40, kiedy stokroć korzystniej i skuteczniej można ich zająć pracą nie mechaniczną. Wobec takiego przepisu planu nauki znowu się zapomniało o tem, że przez cztery lata dzieci uczyły się już ojczystego języka, a przez kilka półroczy pisały wypracowania w szkole ludowej, nawet zapomniało się o własnej maksymie (na str. 32 i 33): „Uczniowie przynoszą ze szkoły ludowej pewien, czasem dość znaczny zasób wiedzy gramatycznej. Nieuwzględnianie tej wiedzy byłoby błędem i grzechem przeciw ekonomii czasu". Złote słowa, do nich dodać chyba tyle, że w naszem położeniu nie ma chwili do stracenia; jeżeli szczęśliwsze kraje, mające własny rząd, władzę ustawodawczą i panującego, liczą się w szkołach choćby tylko ze względów wychowawczych z ekonomią czasu bardzo skrupulatnie, a żadne dzieło treści pedagogicznej tej okoliczności z oka nie spuszcza, to jakże bardzo my każdą chwilę wyzyskać powinni, którzy grzechy przeszłości odrabiamy w pierwszej linii, a pragnęlibyśmy zarobić sobie i na jakąś przyszłość.

Znowu sprawę tę kładziemy Wysokiemu Sejmowi naszemu i p. Namiestnikowi jakby na serce. Korzyść zaś w tem, że kiedy się z klasy I usunie dyktaty i od klasy I - zacznie się wypracowania piśmienne ciągłej treści uprawiać, to się znajdzie czasu tyle, aby uczniów zaznajomić z najważniejszemi formami stylu okolicznościowego, i nie będzie takiego ucznia, któryby po ukończeniu niższego gimnazyum nie umiał napisać listu, ogłoszenia, poświadczenia, rewersu, kwitu, cyrkularza, podania do dyrekcyi kolei, wydziału powiatowego, krajowego, magistratu, starostwa i t. d. Są to pisma bardzo prostej formy, lecz trzeba się raz z niemi w szkole spotkać i takowe sobie przyswoić, bo są później w życiu bardzo potrzebne, prawie konieczne.

Do ogólnych uwag o nowym planie nauki języka polskiego mamy dodać jeszcze jedną, a mianowicie tę, że w całym planie nie ma tej samej miary dla wymagań szkoły ani zachowanej tej samej ekonomii czasu co do naukowego materyału. W niższem gimnazyum, gdzie nauka nie może mieć trudności, bo jej najtrudniejsza część, t. j. gramatyka, znana jest w swoich najważniejszych zjawiskach już ze szkoły ludowej, postępuje tempem zbyt powolnem (w klasie I i II drogą empiryczną, w kl. III i IV systematyczną), podczas gdy w klasach wyższych nauka jest znowu w myśl nowego planu tak intenzywna, że materyalnem jest niepodobieństwem uczynić zadość nowemu planowi. Weźmy kredkę do ręki i obliczmy np. w klasie VI materyał nauki i czas na nią przeznaczony, a zobaczymy, że nie w szkole wobec 50 uczniów, ale nawet przy zielonem biurku Rada szkolna nie potrafiła się ustrzedz od sprzeczności samej z sobą. Przy tem obliczeniu trzymamy się ściśle cyfr zawartych w nowym planie, dlatego się powołujemy na jego stronnice.

Półrocze szkolne składa się z 5 miesięcy czyli z 20 tygodni. Język polski zajmuje w planie lekcyjnym 3 godziny tygodniowo w każdej klasie, a więc i w klasie VI, przeto wypada na półrocze godzin ustawowych 60 dla nauki języka polskiego. Z tych normalnych 60 godzin odpaść musi kilka nauce szkolnej z powodu-świąt kościelnych, dworskich, dni dyrektorskich, tygodnia lub więcej podczas egzaminu dojrzałości, choroby profesorów, pogrzebów, urlopów, ściągnięć klas lub chwilowej zamiany godzin w stałym podziale już licząc najskromniej siedm na kurs, przeto z owych normalnych godzin 60 pozostaje najwyżej na kurs 53 godzin dla rzeczywistej nauki. Rachunek ułatwia plan nowy, albowiem na str. 22—25 określa jak materyał nauki dla kl. VI tak i czas na nią konieczny, jak następuje: Wstęp dla wieków Piastowskich, XV i XVI do Reja 8 godzin, dla Reja 4 godz., dla Modrzewskiego i Orzechowskiego 2 g., dla Górnickiego 8 g., dla Kochanowskiego 10 g., dla Klonowicza i innych 1 g., dla Skargi 8 g., dla poglądu na całość aż do r. 1600 2 g., czyli razem 43 godzin w I półroczu; w drugiem półroczu dla Szymonowicza, Zimorowiczów i Piotra Kochanowskiego 4 g., dla Birkowskiego 1 g., dla Starowolskiego 2 g., dla okresu 3-go 2 g., dla Kochowskiego aż do Paska 4 g., dla poglądu na 4-ty okres 2 g., na 5-ty okres 2 g., dla Krasickiego 10 g., dla Naruszewicza 3 g., dla Trembeckiego 2 g., dla Karpińskiego 3 g., dla Kniaźnina 1 g., dla Staszyca i Kołłątaja nic, dla Zabłockiego 4 g., dla Niemcewicza 4 g., dla reszty aż po 1795 r. 2 g., razem godzin 46 w II półroczu. W tej klasie ma być 7 zadań na półrocze, przeto trzy szkolne, co zajmie całych godzin 3; korektura wypracowań żeby liczyć najskromniej na każde po pół godziny, tedy razem $3^1/_2$, więc same piśmienne prace zajmują $6^1/_2$ godziny, które dodane do godzin nauki, zajmują w I półroczu godzin $46^1/_2$, w 2-giem $52^1/_2$. Atoli to dopiero praca nauczyciela i praca wspólna uczniów, aby przedmiot przez młyn gimnazyalny przepuścić.

Gdzież zdanie sprawy uczniów, że przedmiot nauki stał się ich własnością, gdzie przepis ministeryalny, że uczeń musi mieć przynajmniej 5 (pięć) not z egzaminatur ustnych na półrocze? Otóż na reprodukcyę i na egzaminatury pozostaje w kl. VI na I półrocze godzin $6^1/_2$ (sześć i pół!), na II półrocze godziny $^1/_2$ (połowa!) Prosimy sobie wyobrazić, że jest uczniów w klasie tylko 40, (a bywa ich do 50 i wyżej!) tedy razem egzaminatur obowiązkowych jest co najmniej 200 na kurs, i prosimy podać sposób, jak się nowy plan ma godzić z innymi obowiązującymi przepisami po gimnazyach, ile też nie minut, ale sekund przypada na jedną egzaminaturę celem należytego ocenienia ucznia. To już nie fikcya, ale rachunek na podstawie aktu urzędowego! Lecz nie koniec na tem. Nowy plan przepisuje na str. 3 deklamacyę dla kl. VI, na str. 31—32 wprowadza bardzo ważną nowość t. j. „Ćwiczenia ustne", wprawdzie dla klasy VII i VIII, lecz nie zakazuje ich w klasie VI. Kiedyż wyznaczyć czas na deklamacyę, a kiedy stać się ma zadość przepisowi na str. 12, że „uczniowie klas wyższych mogą się nauczyć około 600 wierszy (na pamięć) na rok"; zaś na str. 13: „Słuchając deklamacyi ucznia, powinien nauczyciel przedewszystkiem tego przestrzegać, ażeby uczeń jak najdokładniej umiał rzecz zadaną, by deklamując „nie o tem myślał, co ma mówić, lecz raczej, jak ma wygłosić". Arcyważne i słuszne, ale na to czasu nie ma.

Ile pojmujemy ważność i ćwiczenia pa-

---

4)

ICH SYN

Powieść współczesna

przez

HAJOTĘ.

Prolog.

(Ciąg dalszy).

Widocznie to wypłakanie się przy tem tak bardzo kochającem ją sercu przyniosło jej ulgę. Ale wnet uśmiech ten zniknął. Pomimo zmroku dostrzegła w twarzy męża coś, co ją zaniepokoiło.

— Co tobie jest Wacławie! — zawołała. — Dlaczego tak dziwnie na mnie patrzysz?

— Czy dziwnie! — odpowiedział. — Być może, Klociu, bo myślałem właśnie, że jutro o tym czasie już te oczy patrzeć na ciebie nie będą.

— Jakto? — spytała nie rozumiejąc. — Co ty mówisz?

— To, co uczynię, najdroższa. Odjadę sam!

Chciała się zerwać z kanapy, ale przytrzymał ją obejmując w pół.

— Zostań dziecko! — rzekł łagodnie lecz stanowczo. — Zostań i wysłuchaj mnie spokojnie. Proszę cię o to!

— Ależ ja nie mogę słuchać spokojnie takich rzeczy! — wykrzyknęła. — W głowie mi się mąci! Ja się teraz ciebie pytam co to znaczy! Odjedziesz sam! zostawisz mnie! po tylu latach, i na ile lat znowu! Zkąd ci ta myśl? To coś potwornego, niemożliwego.

Załamała ręce.

— Więc chcesz mnie do rozpaczy doprowadzić? Boże! Boże! Toż jest nagroda za moją szczerość. Tak srogo karać mnie za to, żem jak głupie dziecko wyspowiadała ci się z moich śmiesznych obaw? O! tyś okrutny! Wacławie.

Położył dłoń na jej splecionych rękach, jakby ją chciał tem pieszczotliwem dotknięciem przekonać, że okrucieństwo dalekiem jest od jego serca.

— Nie Klociu; to nie są śmieszne obawy. Zbyt długo miałem do czynienia z tym żywiołem, który cię tak straszy, abym nie wiedział, co one znaczą. Lat kilka na wybrzeżu i wśród marynarzy spędzonych nauczyły mnie wiele, i znam wszystkie objawy działania tej wodnej potęgi na ludzką naturę. Taki wstręt, jaki ty w sobie czujesz, jest wyjątkowym, a iść z nim na przebój, rzecz to nader niebezpieczna, częstokroć zgubna. Morze imponuje, niepokoi, gnębi, przeraża nawet, ale zazwyczaj ciągnie ku sobie jak przepaść, kto tego uczucia nie doświadcza, niech się na nie nie puszcza, inaczej biada mu! Neptun surowo się obchodzi nawet ze swymi hołdownikami, a dla wrogów swoich jest bez litości. Tak, Klociu moja! to darmo; byłbym bez sumienia, gdybym widząc to, coś mi powiedziała, zabierał cię z sobą.

— Wacławie! — przerwała błagalnie. Oplotła mu znów szyję rękami, powtarzając wśród pocałunków namiętnych: — Zabierzesz mnie z sobą! zabierzesz! zabierzesz! Toż jam żona twoja! Obowiązkiem żony jest iść wszędzie za mężem, bodajby w piekło.

Zrazu chciał się z jej uścisków wysunąć, ale widocznie było to nad siły tego silnego człowieka. Ze stłumionym okrzykiem, który był do jęku podobnym porwał ją w ramiona i przyciskał do piersi, pocałunek za pocałunek oddając. Gdyby kto był spojrzał na tych dwoje ludzi byłby przysiągł, że już nic rozdzielić ich nie zdoła. Ona tryumfowała ogarnięta szałem jego miłości. Cóż ją obchodziło morze? i czy ten obrzydliwy potwór istniał w ogóle na tym świecie, który jej się w tej chwili tak pięknym wydał? teraz, gdy już na nie nie patrzyła, z całego wstrętu i obawy pozostała jej mętna świadomość jakiegoś upiora, jakiem niańki straszą dzieci, ale który się nigdy nie pokazuje.

— Zabierzesz mnie! zabierzesz! — powtarzała coraz ciszej.

Jemu zwolna ramiona odpadły. Odetchnął głęboko.

— Nie kuś mnie, Klociu! — wymówił zmienionym głosem, nie obezwładniaj pieszczotami twemi! Czy wiesz ty dziecko, co to jest ocean? Te fale których pochód tak groźnym ci się wydaje, to same poruszenia drzemiącego olbrzyma. Nasza przeprawa ma trwać dni siedm, ale nikt nie zaręczy ażali nie potrwa dwadzieścia lub dłużej. A wtedy co? Co począć, gdy oczy ślepną z wytężenia szukając na horyzoncie bodaj największej ohydy, byle do wody i obłoków nie była podobną, kiedy oddałoby się pół życia i całe mienie swoje za jedną piędź stałego gruntu pod stopami, kiedy nieznośny ból targa wnętrzności, a mózg szalona tęsknota i dzikie rozsadzają myśli: Co począć, gdy huragan zaryczy, a bałwany już nie jak swawolące nadbrzeżne kocięta, lecz jak zgłodniałe lwy otoczą cię śmiertelnem kołem, gdy wśród tej tytanicznej walki żywiołów na łup jej oddana, tak się twą nicością przenikniesz, że wyda ci się, jakbyś za życia istnieć przestawała, a tu znikąd ratunku, nigdzie ucieczki. Wtedy, Klociu, ty która to wszystko odczułabyś stokroć silniej niż ja ci opisać potrafię, przeklęłabyś godzinę twego urodzenia, i mnie, żem cię na te tortury skazał, nienawiść powstałaby w twem biednem sercu i Bóg wie, czemby się to skończyć mogło... Powiedz Klociu, nie byłoby tak?

Nie odpowiedziała mu zaraz. Jej wrażliwa dusza krzepła pod działaniem słów jego, jak się warzy delikatny kwiat, gdy go igiełki szronu pokłują. Teraz, w ciszy jaka znów pokój zaległa, słyszała wyraźnie oddalony szum swego wroga i przypomniała sobie, że czyha na nią.

— Nie wiem, — szepnęła.

— Ale ja wiem! — ponowił z mocą jej mąż. — Jeżeli ty, taka kochająca, tak pełna poświęcenia, możesz z takiem obrzydzeniem poglądać na ten szlak, który nas miał do upragnionego celu zaprowadzić, jeżeli wzdrygasz się na myśl tej podróży, która jeszcze w Paryżu ciekawość tylko w tobie budziła, toć dowód najlepszy, że to nie chimera, nie obawa dziecinna, lecz instynktowy, niezwalczony wstręt, jakim wszechrozumna natura sama cię przeciw twej zgubie ostrzega. I ja miałbym cię na nią narażać? A! nie! po tysiąc razy nie! Byłbym nikczemnym, pogardy godnym egoistą.

— Więc zostań ze mną! — zawołała, — tu, w Paryżu, gdziekolwiek. Wszak sam powiadasz, że wszędzie żyć można! Suchy chleb jeść będę, byle z tobą.

Uśmiechnął się boleśnie. Dziwne bo to ludzkie serce! Przed chwilą prosił ją, żeby go nie kusiła, a przecież zabolało go, że już nie nalega. Nie byłby ustąpił, przenigdy! przysiągł to sobie, tam przy oknie, gdy wszystko, co w nim było heroicznego, budziło się na to postanowienie, ale pragnął, pragnął namiętnie raz jeszcze usłyszeć z jej ust tę prośbę miłosną: Zabierz mnie z sobą! — Ona tymczasem była już zrezygnowaną i zwracała się ku temu, co było bodaj większą jeszcze niemożliwością!

— Jak tu ciemno! — rzekł zamiast odpowiedzi, — nie widzę cię!

Wstał, zapalił dwie świece na biurku i wrócił na dawne miejsce. — Przysunęła się do niego bardzo blada.

— O, Wacławie! — wymówiła ledwo dosłyszalnym głosem, — jak mi straszno. Jak żyję, nic podobnego nie doznałam... Gdyś poszedł zapalać te świece, patrzałam w kąt pokoju i raptem wydało mi się, że ściany i podłoga znikają i jakaś przepaść bezdenna otwiera się podemną. Musiałam się schwycić za poręcz, aby nie zlecieć, tak mi się zakręciło w głowie. I co najdziwniejsza: wyraźnie usłyszałam jakiś głos, który wołał na mnie z tej przepaści, głos piękny, melodyjny, ale który mnie przeraził okropnie. Co to mogło być.

— Nic, dziecko. Ot! zdenerwowane z ciebie biedactwo. To pasowanie się wewnętrzne zaszkodziło ci. Potrzeba tobie spokoju, wypoczynku, jutro jeszcze jedna ciężka chwila... a potem za kilka tygodni, gdy w domu na wsi, przyjdziesz do równowagi, wdzięczną mi będziesz.

— Nie mów tak do mnie! — zawołała porywczo. — Nie chcę słyszeć o powrocie. Zostanę tutaj z tobą. Najmiemy maleńki domek, znajdziesz sobie jakie zajęcie, ja także będę pracować, będę szyć, uczyć dzieci, będzie nam dobrze. Tylko nie jedź, błagam cię! nie zostawiaj mnie samą... Już sama nie wiem co straszniejsze, morze czy samotność?

(Ciąg dalszy nastąpi).

mięci przez deklamacyę i jej znaczenie w wychowawczem działaniu szkoły, o tyle musimy ruszyć ramionami i powiedzieć: Dla ślicznej tej dyscypliny nie ma miejsca w kl. VI i musi pozostać pięknym planu nowego przepisem niestety!.. na papierze, bo na konieczne i absolutnie niezbędne czynności szkolne jak egzaminatury, miał nauczyciel do dyspozycyi ledwie minuty lub sekundy. Również tylko... na papierze musi pozostać dla braku czasu drugi nowy, a bardzo ważny w dydaktyce przepis nowego planu (str. 25—26): „Domowa lektura w kl. VI wspierać i uzupełniać będzie naukę szkolną przez to, iż uczniowie według Wypisów czytać będą pominięte w szkole dzieła i wyjątki, a powtóre, iż dla wyrobienia sobie jaśniejszego wyobrażenia o tym okresie, którego się właśnie uczą, czytać będą czy to współczesne, czy późniejsze dzieła, mogące im ułatwić głębsze wniknięcie w ducha i stosunki owego czasu. W tym celu w I półroczu czytać powinni (w tłomaczeniu) Orzelskiego rzecz o bezkrólewiu i Heidensteina komentarz o wojnie Stefana Batorego z Moskwą, oba dzieła w wydaniach do potrzeb szkoły zastosowanych, w 2 półroczu naprzód St. Żółkiewskiego pamiętnik o wojnie moskiewskiej i pamiętniki Paska, a przytem Sienkiewicza powieści historyczne („Ogniem i mieczem", „Potop", „Pan Wołodyjowski"), Kitowicza pamiętniki i „Listopad" Rzewuskiego. Z tych sprzeczności nie ma znowu innego wyjścia, jak powrócić do przepisu Zarysu organizacyjnego i od kl. V rozpoczynać naukę historyi literatury, nie galopować, nie pędzić, jakby ta literatura paliła wstydem nasze czoło i sumienie, ale uprawiać ją spokojnie, z godnością i poszanowaniem jej wielkiej wartości należnem.

Szakale galicyjscy.

Pod tym tytułem zamieścił p. Michał Hordyński notaryusz w Nowem Siole koło Zbaraża, artykuł w jednem z pism lwowskich, który powtarzamy w całości dla wielu charakterystycznych szczegółów w nim zawartych. Oto są słowa p. Hordyńskiego:

„W sprawozdaniach z procesu Moszka Mardera, żyda ze Skoryk, podniesioną była na podstawie zeznań świadka p. Wiktora Daszyńskiego okoliczność, że „Marder wyłudził od Karola Tracza w Medyni chałupę, ogród i kawałek pola za 100 zł., a wioząc go do Nowego Sioła do notaryusza, upoił go", z czegoby wynikało, że Tracz jadąc do notaryusza był pijanym.

Jakkolwiek insynuacya ta mnie, jako notaryusza, tyczyć się nie może, gdyż objąłem urzędowanie w Nowem siole dopiero z dniem 1 lutego br., to jednak w imieniu prawdy nie mogę pozostawić mylnych faktów tak, żeby z braku odpowiedzi ucierpieć miała chociby cień podejrzenia instytucya, która przecież z szalbierstwami takiego Mardera „et tutti quanti" i całą emigracyą nic stycznego mieć nie mogła.

Istotne przyczyny emigracyi leżą może głębiej w społeczeństwie, aniżeliby się to na pierwszy rzut oka zdawać mogło. Przyczyn tych nie wyjaśni się dorywczem spostrzeżeniem, lecz nikomu, kto głębiej badał smutne objawy emigracyi ludu, nie będą tajne tych objawów powody. Leżą one po za ekonomicznym i społecznym stanem kraju i są tylko ową iskrą, która stłumionym ogniom dodaje podniety.

Powiat tutejszy był już nie jednym z pierwszych, ale faktycznie pierwszym powiatem, w którym emigracya do Rosyi się rozpoczęła i na wielkie szerzyła się rozmiary; jest on też pierwszym, który w stosunku do ludności wykazać się może najpokaźniejszą liczbą samych wychodźców. Stąd padło zarzewie, od którego zapaliły się umysły ludności powiatów sąsiednich; tu była kolebka owych potwornych wymysłów, które rozchwytane, z ust do ust przelatywały szybko pojedyncze powiaty, i którym lud nieoświecony chętnie dawał wiarę. „Uciekajcie, bo może przyjść wojsko", „Rosya każdemu wychodzcy z Galicyi daje po 5 morgów gruntu i chatę z ogrodem, tu wszystko trzeba z dymem puścić", są to zdania u nas sklejone.

Zeznania p. Daszyńskiego w sprawie Moszka Mardera, wykazują to dowodnie. Dla tego może słusznem byłoby tu szukać genezy tej choroby, która się rozwinęła w formalną gorączkę emigracyjną w tę stronę, dokąd tego najmniej można się było spodziewać.

Bliskość Rosyi, tworzącej z dwóch stron naturalną granicę naszego powiatu, była więcej niż na rękę agitatorom zarazem i wyzyskiwaczom w jednej osobie. Takich Traczów, Paców i Seneckich, o których p. Daszyński wspomina, było setkami tu w powiecie i w czasie emigracyi i przed nią i po niej. Pan Daszyński „patrzy już od lat kilkunastu na to, co się dzieje". Ja na to patrzę od czterech tylko miesięcy i zdumienie mnie ogarnia na to, co widzę. P. Daszyński wspomniał o pijanych kontraktach, o zaoszczędzaniu kosztów stemplowych (recte należytości przenośnej). Ludzie pokroju Moszka Mardera, rekrutujący się z arendarzy, domokrążnych handlarzy i włóczęgów żydowskich, robią „geszefta" na wielką skalę, a jakto przykład na Saneckim, najczęściej bez pieniędzy. Kto się z bliska nie przyglądał wyścigom chałatowych wyzyskiwaczy, ten nie jest w stanie urobić sobie wyobrażenia o wyzysku i oszustwach, jakie się tu dzieją zawsze, a działy się w czasie emigracyjnej gorączki w szczególności. Doszło do tego, że prawie nie ma interesu u notaryusza, aby w nim nie figurował żyd. Żydzi na modłę Mardera, korzystając z nadarzającej się sposobności, a raczej stwarzając sobie tę sposobność sami, zakupują grunta, mieniają, szachrują; a omotawszy ciemnego chłopka całą siecią interesów, na których rozwikłanie chyba od nich pożyczyćby sobie mogli rozumu, odzierają go z mienia, pozbawiają ojcowizny. Z reguły zarobek u nich podwójny, zwykle nabywają za bezcen i sprzedają potem za grube pieniądze tym, od których nabyli. Stąd tyle u nas bezdomnych i bezrolnych malkontentów, stąd gotowy kontyngent za granicę. Transport to konieczny ze względu na całość i bezpieczeństwo nowych właścicieli.

Oszukaństwo doszło do tego stopnia, że oszukuje się nawet skarb państwa i to nietylko w sposób przez p. Daszyńskiego wskazany. Żyd rzadko występuje sam w interesie, zwykle kryje się poza plecy chłopa; kupuje i natychmiast sprzedaje, a kontrakt robi nie chłop sprzedający z żydem kupującym, ale chłop, który sprzedał żydowi, wprost z chłopem od żyda kupującym.

... I nikt temu tamy nie położy. Sam miałem sposobność, na żądanie pokrzywdzonych występywać po trzykroć w czasie mego krótkiego urzędowania w Nowemsiole ze skargą prokuratorską. Coś się robiło, śledzono niby, a rezultatu nie mamy. Dziwić się trzeba temu brakowi energii ze strony stróżów publicznego ładu i porządku. Może przecież teraz sprawiedliwość rozpocznie działanie we właściwych kierunkach. Należałoby podjąć tę sprawę, szan. panie redaktorze, gdyż lud, zaczyna tracić zaufanie w sprawiedliwość władz i bezstronność „stróżów publicznego ładu i porządku". W sądzie w Nowemsiole żydzi pokroju Mardera adwokatują sporującym stronom przy terminach. Zdarzało się, że strony, które przybyły na termin, wydalały się poprostu ze sądu, nie czekając wyroku i narzekają z góry na wymiar sprawiedliwości. Jeżeli jak słyszę, pewien dygnitarz w Nowemsiole miał być pomocnym Marderowi w redagowaniu sprostowania na korespondencyę wójta Nowosada, to jakże może być mowa o zerwaniu łba hydrze stugłowej? Rosnąć ona będzie w nieskończoność.

To też rośnie ona i przerasta nawet miarę. Na każdego piątego chłopa wypada jeden żyd w rodzaju takiego Mardera, i w troskliwą opiekę bierze jego majątek. Chłopów się wyzuwa z ojcowizny, podając im w rękę kij żebraczy, a żydzi rosną i porastają w pierze; zdobywają w krótkim czasie majątki, i taki np. Chaimko zakłada towarzystwo bankowe, pożycza niby na 8 procent, a w rzeczywistości obliczywszy raty, każe sobie podpisywać skrypty na 14 proc. prócz dodatków itp. Jestto wyzyskiwanie nieznajomości interesów u ciemnego ludu. Gdym biedakom żądającym sporządzenia im takich skryptów według informacyi przez Chaimka danych, tłumaczył, co właściwie podpisywać mają, ze łzami mi dziękowali, a ze strony Chaimka i towarzyszy podniesiono taki krzyk na mnie, że aż niebezpiecznie mi się zdaje nadstawiać czoła, występując odważnie.

Utworzyła się formalnie falanga sprzymierzeńców żydowskich, wyzyskiwaczy, która dybie na moje stanowisko. Ja takiej klice zawadzam, nie mogąc, nie chcąc iść jej pod ład. Ja mało przeszkodzić mogę szerzeniu się zarazy, co gorzej niż przedtem widmo cholery nęka powiat tutejszy. Ja bez poparcia mało pomódz mogę biednemu chłopkowi, gdy po niewczasie dojdzie do przekonania, że takie Mardery go zrujnowały; gdy się skarży, że żydzi za nim jak cienie chodzą, że obrócić się nie może, by się nie spotkać z kusicielem, że nawet gdy pobroi i zamknięty zostanie i tam spotyka żyda, który nie wiem z jakiego powodu przemieszkuje w aresztach.

Ten sam Chaimko, o którym p. Daszyński wspomina, naprowadzając sprawę Seneckiego, okpił nawet wtedy tutejszego gospodarza, Bazylego Zazulę, gdy nad nim zawieszono kuratelę i gdy ten uznany był za niepoczytalnego, pozbawił go znacznej części jego mienia! Tylko wszczęte obecnie z tego powodu procesa, mogą dać wyobrażenie, jakiemi to drogami chadza niedola ludu.

Pijani są Tracze, Pace i Seneccy, pijany jest lud. Spoił on się słodkimi snami o zagranicy, wielkimi zyskami z interesów, które go pozbawiają ostatniego zagonu gleby ojczystej. Ludzie zdrowi fizycznie stają przed notaryuszem z pewnym rodzajem aberacyi umysłowej i chcą zawierać interesa. Granica między człowiekiem pijanym a otumanionym bardzo wąska. A jak nie znając przyczyn skutki poprzedzających, nie można wyobrazić sobie upostaciowanego otumanienia, tak z drugiej strony trudno bez znajomości osobistej, sądzić o trzeźwości lub stopniu opilstwa człowieka, jeżeli umysł jego nie graniczy z niepoczytalnością.

Każdy będzie poczytalnym, jeżeli myśli i mówi rozsądnie i wolę swoją wyraża jasno i dokładnie, jeśli się go wedle zapatrywania indywidualnego uzna za trzeźwego. Są zaś wypadki, gdzie notaryusz usług swoich trzeźwym odmówić nie może.

MAŁY FELJETON.

Interview.

Powoli, bardzo powoli tego roku, ale przyszło wszystko, co przyjść winno; a więc zmieniło słońce swą sukienkę zimową, białą a chłodną na ciepłą szatę żółtą, wysypała się zieleń na świat, grusze i wiśnie w koronki białe kwiecia się odziały, bzy rozkwitły i rozpachniały i zaśpiewał słowik w Ogrodzie Jezuickim.

Ten słowik, to dziwny ptak być musi...

Co mu za niewola siedzieć w mieście, łykać kurz, który chmurami leci z ulic Trzeciego Maja, Ossolińskich i Mickiewicza; zaczerpnąć nie módz pełną piersią świeżego powietrza, innego towarzystwa nie mieć nad swą milczącą (choć może przezacną) połowicę i słuchać banalnych zachwytów włóczących się po ogrodzie mieszczuchów.

Choć kto wie, może mu słodkie są te banalne zachwyty? może artysta ogląda się za publicznością? może ucieka od wsi dlatego, że tam się na nim nikt nie poznaje? Kto to wie?

Kto to wie?... A któż ma wiedzieć, jeżeli nie dziennikarz, który obowiązany jest wiedzieć wszystko, a tem samem i to, dlaczego słowik siedzi w ogrodzie Jezuickim.

Uprzedzając więc słuszny zarzut i wiedzeni poczuciem obowiązku, postanowiliśmy — z prawa naszego korzystając — „interwiewować" artystę i wczoraj właśnie późnym wieczorem złożyliśmy mu wizytę.

Znaleźliśmy go łatwo. Od lat wielu mieszka on w krzakach pod lipą stojącą przy alei, która na prawo... wiecie przecież... Przyjął nas gospodarz uprzejmie i prosił grzecznie usiąść, wskazując dzióbkiem na sąsiednią gałązkę. Ponieważ jednak nie byliśmy w stanie skorzystać z tego zaproszenia, więc rozmowa odbyła się stojąco.

A poszła nam gładko.

W tej szarej ptaszynie o srebrnym głosie jakaś widocznie poczciwa mieszkała dusza. Skromność jego obejścia, prostota odpowiedzi, szczerość dźwięku mowy... wszystko to budziło sympatyę i zaostrzało ciekawość.

Wszystko to ułatwiło też nasze zadanie. Po kilkunastu bowiem zdaniach uczuliśmy, że możemy przystąpić do rzeczy wprost, bez ogródek; rzuciliśmy mu więc zapytanie, które nieśliśmy z sobą.

— Dlaczego ja tu siedzę? — powtórzył. — Przyzwyczajenie.

— Rozumiemy przyzwyczajenie — rzekliśmy — wtedy, kiedy wiek już wjedzie na barki, i zresztą kiedy się było zmuszonym przez długie lata niewygody znosić. Ale podobnej ewentualności nie ma przecież w tym razie. Wszakże świeżego powietrza świat cały dookoła miasta, lasów balsamicznych także długo szukać nie potrzeba, a komorne — zdaje mi się — wszędzie jednakowo tanie, no i przeprowadzka niezbyt kosztowna.

— Prawda, prawda, proszę pana. Przyznaję, wygodnie tu nie jest, powietrze szczególnie takie ciężkie, a już ten kurz w dni pogodne — skaranie prawdziwe; zeszłego tygodnia, co to trzy dni słoneczne były, tom piasek czuł na języku i w gardle... prawie ochota do śpiewania odchodziła.

— A więc...

— Ale jak się już przywykło..

— Hm! bo to, szanowny artysto, musimy ci zakomunikować, że w mieście różnie o tobie mówią.

— Proszę pana...

— Posądzają cię o zamiłowanie w popisywaniu się, o chęć laurów i oklasków; niektórzy wprost mówią, żeś fanfaronem.

— Wiem ja o tem... ale cóż na to poradzę... Mogę tylko zapewnić pana, że tak nie jest... Powiedz pan im z łaski swojej, że ja urodziłem się pod tą lipą, wychowałem w tych krzakach, ożeniłem się w cieniu tych liści...

— Zapewne, to trochę tłómaczy... Ależ przyznasz sam, panie gospodarzu, że szanowni jego rodzice, obierając sobie pobyt w mieście...

— I oni nie obrali go sami... i oni się tu wychowali, pożenili...

— A więc dziadowie... pradziadowie... pra-pra-pra...

— A! to inna sprawa proszę pana. Jak tu protoplasta mój przybył to jeszcze wcale miasta nie było a jeden bór zaścielał tę ziemię, po której teraz dudnią dorożki i tramwaje się toczą...

— Może... może.. ale że też nigdy nie przyszła panu, ptaku szanowny, myśl odetchnięcia kryształową wonią lasu...

— Przyszła raz, przyszła...

— Doprawdy?..

— Nietyle zaś mnie, ile małżonce mojej... Zachciało się było jej letniego mieszkania... A pan wie — z babami... rady nie ma. Porzuciliśmy więc naszą lipę i wynieśliśmy się het! het! do boru czarnego...

— I cóż! i cóż?

— Rozkosz tam była, panie kochany. W krzaku olszyny, nisko nad ziemią, zamieszkaliśmy — a trafiliśmy na towarzystwo! Bywało proszę pana, czterdziestu nas uderzy naraz pieśnią, ze wszech stron sypią się melodye i — kto piękniej zaśpiewa? kto wzruszy mocniej? A zapach jaki od sosen szedł?! pijany byłem przez tydzień zanim przywykłem. I co pan powie — tęskniłem tak, że ani rady...

— Do czego?

— Do lipy mojej, do samotności we dwoje, do publiczności nawet.... tak do publiczności.... Nie jestem fanfaronem, ale miło mi, gdy mam słuchacza takiego, co rozumie mnie i co mu śpiew mój miłym jest a może i potrzebnym.... Ot! widzi pan, — już się zaczynają schodzić *moi*... ten wysoki, chudy, co mu brak dwóch guzików u paltota — pan nie widzi, — to poeta... Jak przyjdzie, to tu usiądzie, ręce skrzyżuje i godzinami całemi słucha... a przychodzi zawsze z głową ku ziemi zwieszoną, kiedy odchodzi zaś — nieraz dobrze nad ranem — to, panie, gwiazdy na niebie liczy gasnące.... Albo ten starowinka.... ot tam! w alei! jest tu prawie codzień.. i zawsze sam, zawsze sam — a raz, patrzę, ze staruszką jedną idzie... Myślałem, że to żona, ale słyszę, mówi jej: „*pani*", więc nie żona... Rzuciłem mu trelów kilka na powitanie. Zaraz stanęli oboje i ona powiada: „*wtedy* śpiewał słowik także, i to w tem samem miejscu"... A on: „w tem samem, w tem samem... pamięta pani?" „Pamiętam" i potem dodała: „Jak to inaczej poszłoby życie, gdyby".... Nie dokończyła, tylko oboje westchnęli cicho....

Ale ile to razy zakochana para podejdzie tu, a ciągnie widocznie do lipy, bo szukają jej i pytają: „czy to tu?" „tu"... Nie będę powtarzał szczegółów kochanemu panu, bo nie jestem plotkarzem! Ale ileż razy siedzą tu młodzi, za ręce się trzymają, palce przeplecione i nic nie mówią sobie, — mnie głos zostawiając... A ja czuję, (bo to czuje się takie rzeczy), że wyręczam ich i, że mówię im to właśnie, co sobie do powiedzeniaby mieli...

Nie próżność mnie tu trzyma, wierz mi szanowny panie dziennikarzu, ale myślę, żem tu potrzebny trochę i miło mi to...

Uwierzyliśmy artyście całkowicie. Uważając zaś misyę naszą za ukończoną, nie chcieliśmy mu więcej zabierać cennego czasu, tylko, podziękowawszy i pożegnawszy się, usunęliśmy na bok osobę naszą.

Jakoż też niezwłocznie śpiewać zaczął...
Ptaszyna ukochana...

Powodzie.

Klęska powodzi nawiedziła całe Podgórze karpackie od Tatr aż do Czerniowiec. Z każdą godziną prawie przychodzą smutne wieści o nowych klęskach i szkodach wyrządzonych przez rozhukane bałwany. Deszcz od dziś ustał, ale niebo ciągle zachmurzone i ponure. Jeśliby słota jeszcze potrwała, wówczas rozmiary klęski byłyby nadzwyczaj olbrzymie, gdyż wówczas prawie cała Galicya znalazłaby się pod wodą.

Powódź w dorzeczu Dniestru nie zmniejsza się. Stan wody na Dniestrze dosięgał onegdaj w Niżniowie 5·60 metrów wyżej zera tj. był o 20 cm. niższy od stanu ostatniej wielkiej powodzi w roku 1882. W Hoszowie nad Świcą grozi wielkie niebezpieczeństwo 30 osobom, które schroniły się do chat, obecnie zupełnie niedostępnych. Oddział pionierów udał się wczoraj z Przemyśla do Hoszowa; o taki sam oddział proszono także z Tyśmienicy, gdzie, jak poniżej donosi nam nasz korespondent, trzy czwarte części miasta nurza się w falach. Most na Topolnicy za Starem miastem zerwany; dojazdy do mostu na Siwce w Mielniczu, Mielnicz sam, Lutynka i Włodzimierce zalane. Zagrożony jest również most na Dniestrze w Zaleścach, do którego od strony Chodorowa nie ma dostępu.

W powiecie *dolińskim* wszelka komunikacya przerwana; rozmiar powodzi niebywały, wszystko we wodzie. Szkody wyrządzone przez powódź są olbrzymie.

W *tłumackiem* jest dotknięta powodzią prawie połowa powiatu. Wsie Dołhe, Petryłów, Nowosiółka, Kutyska i w. i. zalane. Ludność schroniwszy się na dachy i drzewa oczekuje ratunku.

W *żydaczowskiem* wystąpiły z brzegów Dniestr, Stryj i Świca, oraz potoki dopływowe i zalały nadbrzeżne grunta i wsie. Stan wody na Dniestrze 5·10 m. ponad zero.

W pow. *nadwórniańskim* szaleje Bystrzyca i ogromne czyni spustoszenia. Pola, łąki, ogrody i domy pod wodą. Fale pozrywały wszystkie kładki i mosty, zerwały most rządowy na drodze do Bohorodczan, poorały nowozbudowaną drogę gminną w Nazawizowie i porwały z wioski tej jedną chatę. Komunikacya zupełnie przerwana.

W pow. *drohobyckim* stoi pod wodą cała dolina Tyśmienicy i Bystrzycy. Komunikacya we wszystkich kierunkach przerwana. Mosty na Tyśmienicy w Drohobyczu uszkodzone, na Bystrzycy w Urożu i Podmanasterku zerwane.

Z Halicza donoszą, iż z miasta do dworca (1 kilometr) nie można się dostać, woda bowiem zerwała zupełnie dojazd kolejowy. Most rządowy zerwany na Łomnicy uniosły fale i szczątki jego przyniosły aż pod Halicz, gdzie zatrzymały się one koło mostu kolejowego. Fale szczątkami tymi tak silnie uderzają o most halicki, iż grozi mu wielkie niebezpieczeństwo. Droga krajowa między Haliczem a Bołszowcami pod wodą.

Z Kołomyi donoszą, iż tak zwany Czarny potok, płynący przedmieściem, wezbrał do tego stopnia wskutek ulewnych deszczów, że już czwarty dzień ulice Staromiejska, Garncarska i Oskrzesiniecka zalane wodą, która się dostaje także do domów. Wskutek tego wiele domów grożących zawaleniem się delożowano. Ogrody poniszczone. W poniedziałek mieszkańców Kołomyi przeraziła depesza z Jamny, że góra wznosząca się nad wodospadem Prutu usunęła się i zabrawszy z sobą część gościńca wpadła do Prutu. W nocy oczekiwano wylewu; szum wezbranej wody słychać było w całem mieście, pomimo, że Prut oddalony o ćwierć mili.

Komunikacya między Chyrowem a Zagórzem przerwana.

W zachodniej części kraju stan wód również groźny. Wylał Dunajec, Wisłoka i Biała. Przedmieścia w Zakliczynie stoją pod wodą. Komunikacya między Zakopanem a Nowym Targiem przerwana; wszystkie mosty na potoku Bystrem zerwane.

Pewien podróżny, który w tych dniach z Krakowa na Chabówkę, N. Sącz, Zagórz udał się do Przemyśla, tak opisuje swą drogę w jednem z pism lwowskich: „Szesnasto godzinną podróż mą w zamkniętym wagonie wypełniły widoki, których zapomnieć nie łatwo. Około godz. 3 rano obudził mię ze snu szum jakiś niezwykły. Odchyliłem firanki, już dnieć poczęło. W okna biły gęste krople deszczu, pod torem kolejowym zaś z jednej i drugiej strony, jak okiem sięgniesz, zbałwanione, brudne fale piętrzącego się Dunajca. Przejechaliśmy zwolna, noga za nogą, wielki most pod Nowym Sączem. Woda zuchwała pięła się pod sam pomost. Gdzieniegdzie z pod mętnych fal wyglądają wierzchołki drzew, czyniąc wrażenie grzybów o szerokich kapeluszach, gdzieniegdzie chata włościańska, do połowy stojąca w wodzie, z której mieszkańcy wynoszą swój marny dobytek. Woda unosi drzewo, snopy słomy, pokryta mnóstwem pływających przedmiotów. Na przestrzeni pomiędzy Gorlicami a Bieczem widok ten sam. Nieznaczna rzeczka, Ropa, rozhulała się i porozlewała wezbrane, szalone wody na pola, łąki i ogrody. Wszystko, co niżej położone, uległo zniszczeniu. Wszędzie, gdzie spojrzysz, woda, woda, woda... Pod Jasłem straszliwe spustoszenie sprawiła Wisłoka, która rozlała się szeroko. Zboża bujne pokładły się pokotem, jakby szlak tatarski po nich przeszedł. W bruzdach stoi woda. Niektóre pola, przed kilku dniami zapowiadające radość włościanom, dzisiaj są ich zgryzotą. Stają oni nad niemi z bezradnie załamanemi rękoma i patrzą w niebo, oczekując ztamtąd pomocy. Niebo jednak zachmurzone rzuca w odpowiedzi strumienie wody, jakby świat zatopić chciało."

Z Kałusza nam piszą 5 czerwca. (*R.*) Z powodu ulewnego deszczu trwającego od 3 dni bez przerwy niemal, wystąpiły z łożysk swoich Czeczwa, Łomnica i Siwka. Wszystkie nisko położone role i łąki zalane, przybrzeżne wsie stoją pod wodą. Szkody bardzo znaczne. Stan wody w Siwce wynosi 2·80 metra ponad zero. Barometr poszedł nieznacznie w górę, deszcz jednak nie ustaje i zachodzi obawa większej jeszcze klęski. Komunikacya z górskiemi miejscowościami po prawym brzegu Łomnicy przerwana; prom w Dobrowlanach nie wozi, zaś prom w Podmichalu zerwała woda. Na darmo pocieszamy się nadzieją mostu, planowanego od lat już kilku. Ostateczna byłaby już pora przystąpić do regulacyi Łomnicy, która co roku olbrzymie sprawia szkody, zamieniając najżyźniejszą rolę w rozległe szutrowiska. Lud z rozpaczą załamuje ręce. Nie mniejsze spustoszenia musiały porobić górskie rzeki Łukiew, Bereżniczka i Bołochówka.

Pod dniem 6 bm. piszą nam dalej z Kałusza: (*R.*) Szkody, jakie u nas powódź wyrządziła, są ogromne, na razie nie dające się nawet obliczyć. Wszystkie wsie leżące przy dolnym biegu Łomnicy i Czeczwy, a więc Dołhe, Pujło, Tużyłów, Dobrowlany, Zagórz, Chocin, Połhorki, Wistowa, Studzienka, Babin, Przewozice i Medynia stały pod wodą. Stan wody na Łomnicy wynosił 2·50, na Siwce 2·90 metra. W nocy z poniedziałku na wtorek zaczęła woda zwolna opadać; niebezpieczeństwo jednak nie minęło jeszcze, tem bardziej, że deszcz ciągle jeszcze pada, a stan barometru bardzo niski. Na drodze rządowej kałusko-stanisławowskiej w Wistowy zerwała woda część mostu; zerwany również most na Czeczwie pomiędzy Krechowicami i Rożniatowem. Z powodu zepsucia torów kolejowych odcięci jesteśmy od wszelkiej komunikacyi ze Lwowem i Stanisławowem.

Z Kut donoszą nam: Na podgórzu Pokucia deszcz lejący od tygodnia, wyrządza znaczne szkody. Prutu i Czeremosza wody wezbrały do niebywałej wysokości. Mosty na rządowej drodze z Kołomyi do Kut zniszczone. Usuwiska pozasypywały drogi i drożyny. Komunikacya wszędzie przerwana. Mgła ciemna i ciężka zasunęła cały widnokrąg i cała okolica wygląda jakby w przededniu potopu.

Z Tyśmienicy nam piszą 7 bm. (*H. W.*) Wielka klęska dotknęła Tyśmienicę; od trzech dni prawie $^3/_4$ części miasta pod wodą. Gdyby nie prawdziwie bohaterskie poświęcenie tutejszego wachmistrza żandarmeryi p. Bergmana i członków posterunku, byliby mieszkańcy zupełnie pozbawieni pomocy. Na zbitych deskach przewożą ludzi, ale ratujących za mało, w obec wyczekujących ratunku. Woda przybywa, miasto pomocy wyczekuje.

Ze Stryja nam piszą: Rzeka nasza grozi wylewem. Stan wody 1 metr 45 cm ponad normalną powierzchnię. W Skolem woda zabrała 2000 sągów drzewa i kilkaset kloców. Tutejszy tartak parowy wstrzymany. Pola okoliczne pod wodą. Jeżeli przerwany zostanie wał ochronny obok tartaku, to zalew miasta jest nieunikniony. Dzień i noc pracują nad wzmocnieniem wału. Deszcz leje bez przerwy.

Z Falkenbergu, w pow. dobromilskim piszą nam: (*X. M. B.*) Przed rokiem poruszaliśmy w *Przeglądzie* kwestyę regulacyi rzeki Wiaru, poniżej Kalwaryi aż do Niżankowic, ale bezskutecznie. Dziś, po kilkudniowej słocie, padają poderwane brzegi Wiaru, woda gwałtownie zabiera ciężką pracę ról i ogrodów naszych, a wieśniacy załamują ręce na widok nędzy i straty niepowetowanej. Setki morgów pastwisk gminnych leżą bez pożytku na przestrzeni półtoramilowej, a wody górskie dowolnie uderzają w brzegi Falkenbergu i Sierakowiec z wróżbą nieuchronnej zagłady kilku domów. Rok 1867 zabrał podobnież kilka domów, ogrodów i młyn rządowy. Zwracamy tedy uwagę władz rządowych i krajowych na tę nieszczęśliwą okolicę z prośbą o pomoc i zajęcie się piekącą sprawą, bowiem za lat kilka, przy istniejącym stanie, zajmą wody stare łożysko, na którem po dziś dzień stoi Falkenberg. Nowo zbudowany most w Huwnikach nadwerężony, a wody przybierają. W urodzajach, z wiosną wiele obiecujących ogromne straty. Biada biednym.

* * *

Wydział krajowy uchwalił wczoraj udzielić z funduszu krajowego zasiłki wydziałom powiatowym w Tłumaczu 200 zł., w Bóbrce 100 zł. na doraźną pomoc dla włościan dotkniętych powodzią.

Dyrekcya kolei państwowych donosi: Do usunięcia przerwy między stacyami Niżniów i Korościatyn na szlaku Stanisławów-Husiatyn kursować będą codziennie pociągi lokalne, z jednej strony między Stanisławowem a Niżniowem, z drugiej strony między Monasterzyskami a Husiatynem.

KRONIKA.

Lwów 8 czerwca.

Na audyencyi u Cesarza był onegdaj między innymi p. minister Zaleski z synem Wacławem.

Mianowania. Rada szkolna krajowa mianowała nauczycielami szkół ludowych: Adolfa Hermana w Nowosielcu, Maryę Kuntze starszą nauczycielką 5-klasowej szkoły żeńskiej w Wieliczce, Michała Tereszczuka nauczycielem w Szlachcincach, Andrzeja Pasiekę w Dołhem, Stefana Webera nauczycielem starszym 5-klasowej szkoły im. Mickiewicza w Stanisławowie, Karola Wańczyckiego kier. nauczycielem 2-klas. szkoły w Krasnem.

Minister handlu zamianował Karola Dubina asystentem pocztowym, a dyrekcya poczt i telegrafów przydzieliła go do urzędu pocztowego i telegraficznego we Lwowie.

Sankcyę monarszą otrzymał uchwalony przez Sejm galicyjski projekt ustawy o regulacyi Dniestru między Rozwadowem a Żurawnem.

Ze sfer adwokackich. Wydział krakowskiej Izby adwokackiej ustanowił adwokata dra Bronisława Guńkiewicza jeneralnym zastępcą dra Fel. Szlachtowskiego, adwokata w Krakowie i był. prezydenta m. Krakowa, który z dniem 3 b. m. z adwokatury zrezygnował.

P. Julian Karol Cybulski złożył przepisaną przysięgę jako upoważniony przez rząd architekt z siedzibą urzędową we Lwowie.

Dyrekcya powszechnej wystawy krajowej rozesłała dotąd około 3000 deklaracyi, a mianowicie z działów, których program został już opracowany. Ktokolwiek byłby przypadkowo pominięty raczy się zgłosić w drodze ustnej lub korespondencyi do dyrekcyi i przedstawić swoje żądania.

Urzędnicy c. k. Namiestnictwa lwowskiego za inicyatywą radzcy Kleeberga jako koreferenta wydziału finansowego, złożyli w drodze dobrowolnych składek na cele powszechnej wystawy krajowej kwotę 212 zł. Przykład ten godny naśladowania zapisujemy bez wszelkich komentarzy...

Plan wzorowej gospody włościańskiej, która wzniesioną będzie na placu wystawy krajowej, nadesłał już do aprobaty dyrekcyi zarząd główny Tow. Kółek rolniczych.

Wiec chrześcijańskich rzemieślników z powiatów buczackiego i czortkowskiego odbędzie się w d. 30 czerwca.

Sprostowanie. Budową instytutu anatomicznego we Lwowie kieruje radzca Józef Braunseis, zaś p. Jan Lewiński jest tylko przedsiębiorcą.

Dla gorzelników. VII walne zgromadzenie Tow. gorzelników polskich odbędzie się we Lwowie, we czwartek 15 czerwca o godz. 10 rano w sali „Frohsinn" (hotel Żorża).

Festyn uczestników powstania 1863 r., który się ma odbyć w niedzielę 11 b. m. na Wysokim Zamku, zasługuje na szczególną sympatyę publiczności i raz ze względu na patryotyczny cel zasilenia kasy Towarzystwa wzajemnej pomocy powstańców z r. 1863, a powtóre ze względu na obfity program, który obejmuje loteryę fantową, produkcye „Echa", produkcye orkiestry i wiele innych rzeczy. Najwięcej budzi zainteresowania obraz z żywych osób przedstawiający potyczkę oddziału Czachowskiego, stoczoną 23 kwietnia 1863 pod Stefankowem.

Lirnik Mazowiecki, szkic literacki przez Jana Kasprowicza, opuści w tych dniach prasę i już w sobotę ukaże się w handlu księgarskim. W studyum tem podaje autor dokładny pogląd na działalność zmarłego poety, zaznajamia z jego utworami i charakteryzując ich istotę i rodzaj, podaje szerokiemu ogółowi inteligentnej publiczności sposobność do właściwego ocenienia pieśniarza ludu, którego szczątki mamy złożyć za kilka dni w Panteonie narodowym.

Zwłoki Lenartowicza znajdują się już w drodze do kraju. Onegdaj o godzinie 5 po południu odbył się we Florencyi uroczysty obrzęd przeniesienia ich na dworzec kolejowy. W uroczystości tej oprócz delegatów komitetu pogrzebowego i Polaków, znajdujących się we Florencyi, wzięli udział reprezentanci władz włoskich rządowych i gminnych, profesorowie uniwersytetu, literaci, artyści i mnóstwo publiczności. Profesor Pieroni Levartini wypowiedział piękną mowę. Żegnał w niej zwłoki poety imieniem ziemi włoskiej, która mu przez długie lata była gościną.

Konkursa. Krajowa Rada szkolna rozpisała z terminem do 30 bm. konkurs na posadę rz. kat. katechety w męskiem seminaryum nauczycielskiem w Tarnowie. — Sądy powiatowe w Gwoźdźcu i Szczercu poszukują dyetaryuszy. — Dyrekcya poczt i telegrafów ogłasza z terminem do 30 bm. konkurs na trzy posady asystentów, zaś z terminem do 16 bm. konkurs na posady ekspedyentów pocztowych: w Rogóźnie i Strażowie, w pow. łańcuckim, oraz w Rajtarowicach, w pow. samborskim.

Ze sfer górniczych. P. Józef Mołoń, złożywszy przepisaną przysięgę, ustanowiony został urzędownie autoryzowanym inżynierem górniczym z siedzibą w Krośnie.

Krajowa Rada szkolna na posiedzeniu z dnia 5go bm. uchwaliła: Przekształcić od 1 września 1893 roku następujące szkoły ludowe: a) na sześcio-klasowe: 5 klasowe męską w Tarnopolu; 4-klas. męskie IV., VII i XVI i 5-klasowe żeńskie IX, XIII i XVII w Krakowie; 7-klasową męską w Tarnowie; b) na pięcio-klasowe: 4-klasową męską „na Strusinie" w Tarnowie, 4-klasową męską w Mościskach, 4-klasową żeńską w Krośnie, 4-klasową w Dukli, 4-klasową w Kołaczycach, 4-klasową w Żydaczowie; c) na cztero-klasowe: 1-klasową żeńską w Mościskach; d) na trzy-klasowe: 2-klasową w Tarnopolu na przedmieściu Mikulinieckiem, 2-klasową w Grzegórzkach; e) na dwu-klasową: jednoklasową w Olchowcu; wyłączyć gminy Rudniki i

Sułkowszczyznę z zakresu szkół ludowych w Mościskach i zorganizować od 1 września 1893 r. szkołę ludową w Rudnikach dla obu wyłączonych gmin; wyłączyć gminę Klonice z zakresu szkoły ludowej w Hruszowie i zorganizować od 1 września 1894 osobną szkołę ludową w Klonicach; zorganizować szkołę ludową w Polanach, powiatu Grybów, od 1 września 1893; przekształcić szkołę ludową w Kurnikach na 2-klas. od września 1894 r.

Ślub. W niedzielę dnia 25 bm. odbędzie się w kościele parafialnym w Bolszowcach ślub panny Joanny Lehkowskiej z p. Adolfem Bommerem.

Dyrekcya kolei państwowych donosi, iż ruch kolejowy na linii Stryj-Stanisławów na nowo został podjęty.

Dyrekcya kolei państwowych donosi nam także, iż według ogłoszenia w *Wiener Zeitung* i *Gazecie Lwowskiej*, rozpisuje ona dostawę urządzenia mechanicznego dla zakładu gazowego olejnego na dworcu kolei państwowych we Lwowie. Odnośne oferty przyjmuje Dyrekcya ruchu we Lwowie, najpóźniej do 10 lipca rb. Bliższe warunki dostawy mogą być przejrzane w biurze inspektoratu konserwacyi kolei budynek Nr. II na dworcu głównym (w godzinach urzędowych).

Popis szkoły muzycznej p. Jadwigi Duninowej odbędzie się w dnie: 22, 23 i 24 czerwca rb. w sali Domu Narodnego.

Kradzież w Kasie oszczędności. Z Tarnopola donoszą dnia 8 bm.: Wczoraj do godziny 8 wieczorem przesłuchano 28 świadków; obciążająco dla oskarżonego zeznawali: Morgenroth, Skowroński i Tekla Głaz. Zeznania cukierników, kawiarzy i kupców nic nie wykazały. Dalsze przesłuchanie świadków dzisiaj.

† Matka Celina Badeni, zakonnica w zgromadzeniu Najśw. Serca Jezusowego (Sacré Coeur) we Lwowie, siostra naszego zasłużonego ks Jana Badeniego T. J., zakończyła tej nocy żywot ziemski, licząc lat 40. — R. i. p.

† Benedykt Olszewski. Donoszą nam z pod Żurawna: Dnia 2 bm. odprowadziliśmy na miejsce wiecznego spoczynku zwłoki śp. Benedykta Olszewskiego. Była to jedna z wybitnych osobistości ostatniej naszej walki o wolność, godzi się tedy kilka słów z życia tego zasłużonego syna Ojczyzny podać do publicznej wiadomości.

Śp. Benedykt Olszewski urodził się w majątku rodzinnym Pobojsk na Litwie. Podczas wybuchu powstania w roku 1863 liczył lat 22 i wiedziony niepohamowanym zapałem pociągnął wraz z dworską czeladzią do obozu Sierakowskiego. Wnet zwykłą odwagą przechodzącą często, a szczególnie wielka przytomność umysłu w walce podjazdowej, zyskały mu u podkomendnych przydomek „Piorun“, u przełożonych zaś szczególniejsze poważanie i zaufanie.

W listopadzie 1863 poruczą mu ks. Maćkiewicz organizacyę województwa kowieńskiego, samodzielne dowództwo. Odtąd walczy Olszewski aż do upadku powstania bezustannie wśród śniegu, mrozu, głodu i niedostatku amunicyi. Za napój służył mu śnieg, za pokarm chleb czarny, a długie miesiące bór gęsty i wykrzesane niebo były mu jedynym namiotem. W końcu powstania, mimo ogólnego rozprężenia, mimo czyhającej dokoła zdrady, walczy do ostatniego tchu; dopiero w skutek kompletnego upadku sił fizycznych, decyduje się, przy pomocy przyjaciół udać się za granicę, do Paryża.

Ciężkie były dni dawnej emigracyi, jak prawie dla każdego z naszych ziomków; pracą rąk podtrzymywał życie, bez celu, bez widoków lepszej przyszłości. Tak doczekał wojny prusko-francuskiej. Na odgłos surm bojowych, marząc o lepszej doli dla Polski, zaciąga się w szeregi francuskiej armii powstańczej i w randze kapitana obejmuje dowództwo kompanii wolnych strzelców. Po ukończeniu kampanii zamianowany został majorem i kawalerem krzyża legii honorowej. Kilka lat czas przemieszkał w Perpignan we Francyi, aż wreszcie stęskniony za krajem wrócił do Galicyi, gdzie zaczął pracować około roli, szukając sposobnego przytułku w rozmaitych stronach kraju.

Ostatniem schronieniem jego była mała dzierżawa Ćwitówka koło Żurawna, gdzie szanowany od sąsiadów, kochany przez lud, zakończył bohatersko-męczeński żywot w takim cichem ustroniu, że właściwie bliżej był Boga niż ludzi. Tłumy wieśniacze, dalecy i bliscy sąsiedzi, cały okoliczny kler ruski i polski, mimo niepogody, odprowadził na ciche leże pocztowe szczątki zasłużonego żołnierza tułacza. Cześć jego pamięci!

Ze „Sokoła“ lwowskiego nam piszą: Kółko dramatyczne naszego „Sokoła“ wystąpiło w dniu 4 czerwca b. r. z wystawieniem dramatu Korzeniowskiego „Cyganie“ na cele budowy domu „Sokoła“. Druh reżyser dał dowody niezwykłej odwagi, ale także uporu, gdy wydobył z grubych pyłów przeszłości dramat pięćdziesięcioletni, grany jeszcze przed 50 laty bez szczególniejszego powodzenia i wystawił go przed publicznością, której znaczna część jest dla kółka dramatycznego i „Sokoła“ niestety nieprzychylnie usposobiona. Pomimo tego dzięki nieustraszonym wysiłkom druhów Dzięciołowskiego i Kuchara i druhin Krzyżanowskiej i Perłowskiej wydobyto na jaw i wyzyskano w bardzo zręczny sposób wszelkie malownicze efekta, jakie ów utwór Korzeniowskiego w sobie zawiera.

Amatorowie nasi zdołali utrzymać tutejszą naszą publiczność aż do samego końca sztuki w nader miłem usposobieniu i zaciekawieniu, a udało im się to wskutek znakomitego wyuczenia się długich i ciężkich monologów, odpowiedniej deklamacyi wiersza lekkiego i akcyi raźnej, żywem i prawdziwem grą tych. Z największą werwą wykonała akt 4-ty, gdzie druhini Kucharowa pomimo widocznego znużenia musiała powtarzać swój przepięknie ułożony i we wobec chóru śpiewaków wykonany taniec. Wszyscy amatorowie bez wyjątku swe role z prawdziwem oddaniem wykonali i zasłużyli sobie na wszechstronne uznanie, które im też publiczność częstymi i rzęsistymi oklaskami wyraziła. Pokonani zaś są ci, którzy kółku dramatycznemu liczne trudności stawiali i we wdzięczności się bawili.

Od X. dra Franciszka Gabryla, wikarego w Oświęcimie otrzymujemy następujący list:

„Chcę parę słów napisać w sprawie mniemanego oszusta Pawła Tischmanna. Kiedy byłem w seminaryum krakowskiem na 4 roku tj. 1889/90 wówczas jakiś żydek tego imienia i nazwiska mający pochodzić z Kielc czy Kalisza (gdzie był podrabinim) przybył do nas i dłuższy czas tam bawił. Urządziliśmy nawet składkę, ponieważ wybierał się do zakładu don Bosca do Turynu, miał przytem od JEmin. księcia kardynała Dunajewskiego i pana Dr. Markiewicza otrzymać jakieś wsparcie. Udał się rzeczywiście tamże, ale musiał tam nie być długo, bo już r. 1892 przypadkowo spotkałem go w kościele św. Ruprechta w Wiedniu, odwiedził mnie w instytucie św. Augustyna i tam dowiedziałem się, że wybiera się do Rzymu, gdyż go powołano do Rosyi; jakim sposobem się wykręcił od wojska, niech sam opowie, dość, że wyjechał z Rosyi przybył do Wiednia i według jego opowiadania był przyjęty jako kleryk do jakiegoś zgromadzenia w Modling, czy Meidling, tego już nie pamiętam. Owo zgromadzenie miało go wysłać na dokończenie studyów teologicznych do Rzymu, tam wyjeżdżając przyszedł się do mnie pożegnać. Jest wzrostu średniego, włosy czarne, trochę kręcone, fizyognomia dosyć żydowska. To też już raz w Krakowie zatrzymał go policyant, ale wytłómaczyć się potrafił, powołując się, że go w seminaryum znają. Być może, że żydzi dla dokuczenia mu jako neoficie dali o nim znać policyi — być może — że... i nas wszystkich oszukiwał, ale mnie się to nie wydaje, przypuszczam raczej to pierwsze, a w takim razie dopomódz mu potrzeba i w tym też celu piszę te parę słów — Szanowna Redakcya raczy zrobić z tego listu użytek, jaki uzna za stosowny“.

Ze sportu. Na wtorkowych wyścigach konnych w Wiedniu w biegu „handicap“ o nagrodę 1000 zł. pierwszy przybiegł do mety hr. Em. Baworowskiego czteroletni koń „Oligarch“. Biegało koni 11.

Spadek. Dnia 27 listopada 1892 roku umarł w Wiedniu emerytowany arcyksiążęcy zarządzca dóbr ś. p. Witold Żurakowski w 56 roku życia bez pozostawienia testamentu. Rodzina ś. p. zmarłego ma pochodzić ze Lwowa. Ponieważ dotąd nie zgłosili się żadni spadkobiercy, przeto kurator masy spadkowej po ś. p. zmarłym, dr. Robert Swoboda, adwokat w Wiedniu IX Bezirk, Wahringerstrasse Nr. 15. wzywa osoby mające prawo do spadku, aby się do niego jak najprędzej zgłosiły.

Z Żółkwi nam piszą: Przeczytawszy sprawozdanie z przebiegu obrad Sejmu z dnia 26 kwietnia b. r., zainteresowała mnie jak wogóle wszystkich Żółkiewian petycya mieszkańców Winnik, przedmieścia Żółkwi, o oderwanie się tegoż przedmieścia od Żółkwi, której to petycyi p. Korol zawzięcie broniąc, twierdził, że Winniki nic z miastem nie łączy, że w Winnikach nikt z mieszczan nie mieszka i w końcu zarzucił p. Pilatowi, referentowi tej petycyi jakoby on wprowadził Sejm w błąd, i że na jego wniosek Sejm ją odrzucił.

Pominąwszy już to, że p. Korol, jako pierwszy assesor i syndyk miasta Żółkwi, wystąpieniem tem działał przeciw interesom tegoż miasta i samychże Winnik, których mieszkańcy z tego połączenia tylko korzyść mają, gdyż dotychczas żadnych dodatków nie płacą, które z dochodów miejskich są zaspakajane, przypatrzmy się bliżej tymże Winnikom.

W kronikach z czasów założenia Żółkwi, a przechowanych w archiwum dominikańskiem w Żółkwi, czytać możemy, że Stanisław Żółkiewski, hetman koronny, w Winnikach, swej majętności, założył zamek dla ochrony przed Tatarami, około którego chaty wiejskie poczęły przeistaczać się w domy i tak powstała Żółkiew. Dzisiejsze Winnickie przedmieście to tylko część z dawnych Winnik, Z biegiem czasu Winniki odłączyły się, ale to na krótko od Żółkwi, poczem kierowane wspólnym interesem zlały się napowrót z miastem. Dzisiejsze Winniki to najgłówniejsza arterya miasta, która gdyby odjęta mu była, stanowczo niekorzystnie wpłynęłoby to na dopiero co rozwijające się miasto dzięki tutejszemu burmistrzowi p. Rozwadowskiemu i staroście p. Lanikiewiczowi.

Że Winniczanie, a raczej tutejsi moskalofile z Dr. Drzymalikiem na czele, chcą Winniki odłączyć, inna jest tego przyczyna, aniżeli p. Korol podał. Oto na Winniki, dopokąd te złączone są z miastem, moskalofile nie mogą tak swobodnie wpływać w duchu antireligijnym i antipolskim jakby to czynili, gdyby takowe odrębną były gminą. Że chcą działać pokazuje następujący fakt: Zeszłej jesieni objęli tutejszą parochię nowi OO. Bazylianie ludzie powszechnie w okolicy i mieście szanowani (tylko nie przez moskalofilów), a wglądnąwszy do Winnickiej czytelni, skonstatowali, że tam między książkami znachodziły się i takie, które rozpowszechniały między ich parochianami twierdzenie: że unia to wymysł Polaków i Papieża, a religia prawosławna jedynie jest prawdziwą „(Russkaja prawda“ Kupczanki, „Nauka“ Kozaryszczuka i Naumowicza i inne) i że między obrazami świętych wisiał na ścianie czytelni portret Naumowicza.

Zakazali więc książki przeciwne wierze katolickiej czytać, a obraz Naumowicza polecili zdjąć, co też Winniczanie uczynili, zaś jeden z mieszczan przyniósł nawet wszystkie roczniki „Russkiej prawdy“ Bazylianom do zniszczenia. Ale niestety. Gdy Drzymalik do czytelni przybył, której jest długoletnim prezesem i o wszystkiem dowiedział się, a do tego ukochanego portretu na ścianie nie zobaczył, tak się oburzył, że w następstwie tego w *Gałyckiej Rusi* pojawił się sążnisty artykuł (w Nr. 216, z roku 1892) piorunujący na Bazylianów żółkiewskich i Jezuitów. Artykuł ten ma się rozumieć czytali i Winniczanie, a w jakim celu dano im do przeczytania, każdy się domyśli.

Obraz Naumowicza wisi dotychczas w czytelni, a książki jeszcze bardziej są czytywane, bo wiadomo zakazany owoc smakuje, gdyż wobec wpływu długoletniego i agitacyi Dr. Drzymalika Bazylianie są bezradni.

W. P.

Z Izby sądowej. Istna „trójka hultajska“ stawała wczoraj przed ławą przysięgłych. Miłe to towarzystwo składali: kucharz Jan Stelkowicz, zwany także Raczyńskim lub Zółczyńskim, złodziej wiejski Ilko vel Borys Iwanus i żydek Hersz Herlitz, zwany także Ehrlichem lub Schweitzerem, oskarżeni o zbrodnię kradzieży.

Rozprawie przewodniczył radzca sądu Nitarski w towarzystwie radzców Majewskiego i Sawczyńskiego, oskarżał prokurator Chyliński; Iwanusa bronił z urzędu dr. Lisiewicz, Stelkowicza i Herlitza p. Domiczek.

W kwietniu roku zeszłego Stelkowicz z Iwanusem w towarzystwie jakiegoś trzeciego rzezimieszka, którego nazwiska jednak nie chcieli wymienić, dobrali się do mieszkania Hrynia Dudyka, diaka w Wólce mazowieckiej, i z komory wynieśli mu skrzynię, którą na podwórzu rozbili i wyjęli z niej 85 złr. i 4 sznurki korali wartości 40 złr., sprzedane następnie przez Stelkowicza jakiemuś handlarzowi za 6 złr. Żandarmeryi udało się w końcu czerwca odnaleźć Iwanusa, którego też w grudniu roku zeszłego zasądzono na 15 miesięcy ciężkiego więzienia, Stelkiewicz zaś przepadł bez wieści.

W czerwcu spotkali się w jakimś szynku Stelkowicz z Iwanusem i tutaj pierwszy z nich podał plan kradzieży pieniędzy u p Henryka Gottleba, właściciela Tehlowa, u którego służył za kucharza. Do spółki przystąpił żydek Herlitz. W nocy udali się złodzieje na miejsce i tutaj Stelkowicz przez okno przypadkowo niezamknięte dostał się do pokoju, za nim wszedł Iwanus a Herliz pozostał na straży. Stelkowicz rozbił szafę, komodę i biurko, a Iwanus świecił mu przy wybieraniu kosztowności z szuflad. Według podania poszkodowanego strata wynosi około 2000 złr. W robocie nic złodziejom nie przeszkodziło, to też spokojnie udali się do Uhnowa, gdzie Herlitz miał sprzedać skradzione rzeczy za 60 złr. jakiemuś żydowi Hechterowi, którego jednak odszukać nie zdołano. Herlitz zeznał, że Hecht uciekł do Ameryki według wszelkiego prawdopodobieństwa jednak, sprytny żydek sprzedał tylko część kosztowności a resztę ukrył, gdyż nie można przypuszczać, aby kosztowności warte 2000 złr. sprzedał tylko za 60 złr. Oskarżeni przyznali się w zupełności do winy.

Stelkowicz prócz tego operował jeszcze latem w Sokalu, gdzie skradł pani Przygodzkiej 10 kur, które później, nie wiedząc co z niemi zrobić, wrzucił do wody.

Do rozprawy stanął, prócz wymienionych, jeszcze Mikołaj Karst, który jak się okazało, w kradzieżach tych udziału nie brał.

W obec przyznania się oskarżonych do zarzuconej im zbrodni kradzieży, ustała wszelka obrona, to też broniąc swoich klientów, oświadczył p. Domiczek, że nie ma nic do powiedzenia, dr. Lisiewicz zaś zwracał jedynie uwagę trybunału, że Iwanus pomagał tylko w kradzieży.

Po niedługiej naradzie wydali sędziowie przysięgli werdykt potępiający, skutkiem czego Jan Stelkowicz został skazany na 5 lat, Hersz Herlitz na 4 lata, a Ilko Iwanus na 3 lata ciężkiego więzienia, obostrzonego co tydzień jednym postem. Nad skazanymi po wyjściu z więzienia, ma być rozciągnięty dozór policyjny.

Podczas rozprawy odczytano świadectwa zachowania się Iwanusa i Karsta w domach kary, gdzie się obecnie za popełnione kradzieże znajdują. Świadectwa te, wystylizowane w języku niemieckim, a podpisane przez zarząd c. k. domu kary i przez więziennego kapelana, były powodem interpelacyi sędziego przysięgłego Szczerbickiego. Na zapytanie, dlaczego świadectwa te są pisane w języku niemieckim, odpowiedziano, iż to się tyczy nadprokuratoryi państwa, gdzie językiem urzędowym jest niemiecki.

Rozumiemy aż nadto dobrze, że w stosunkach z ministerstwem sprawiedliwości nadprokuratorya musi obecnie używać języka niemieckiego — choć i to się zdaje zbytecznem wobec równouprawnienia wszystkich języków, nie rozumiemy jednak zupełnie dlaczego w stosunkach wewnętrznych w Galicyi, gdzie językiem urzędowym jest język polski, nadprokuratorya używa języka niemieckiego. Mamy nadzieję, iż anomalia ta usuniętą zostanie i nie da nam powodu do dalszych uwag na ten temat.

Z Jodłowej nam piszą: Według urzędowych ogłoszeń, monety ćwierć-reńskowe (25 ct.) i dwureńskowe (2 złr.), pozostawały w obiegu do końca maja b. r. i każdy mógł je w tym czasie przyjmować, bez żadnej obawy o jakąkolwiek stratę. C. k. urzędy zaś mają takowe wymieniać do końca czerwca. Na tej podstawie posłałem dnia 29 maja b. r. do c. k. urzędu pocztowego w Jodłowej kilka sztuk po 25 ct. i jedną na 2 złr. jako część kwoty niewielkiej, którą posyłałem przekazem pocztowym do miasta N. Rzecz jednak stała się dziwna i nie do wytłumaczenia. Oto c. k. urząd pocztowy, odesłał mi takowe napowrót, z tym dodatkiem, że takich pieniędzy już od kilku dni nie przyjmuje. Ten czyn c. k. urzędu pocztowego w Jodłowej podaję do wiadomości Dyrekcyi Poczt. *X. J. R.*

Zmarli. Erazm Różycki, były kapitan pierwszego pułku jazdy byłych wojsk polskich, ozdobiony złotym krzyżem „Virtuti Militari“, członek był. Rady stanu Królestwa Polskiego, umarł w Opatkowicach koło Kielc. — W Warszawie umarł w 81 roku życia emerytowany radzca stanu Korneli Kozewski, który przed kilkoma laty własnym kosztem zrestaurował pomnik Wandy na kopcu pod Krakowem.

Stan powietrza. Termometr + 9° Reaumura o godzinie 7 rano, w południe + 12 stopni Reaum. Barometr 764. Bardzo powoli idzie w górę. Dzień pochmurny. Wczoraj wieczorem i dziś w nocy padał deszcz kilkakrotnie.

Najlepszy przyjaciel.

— Ależ to są straszne rzeczy, co mi pan opowiada o tej kobiecie. Skądże pan wie to wszystko?

— Mój panie, przecież od tylu lat należę do najlepszych przyjaciół jej rodziny.

Teatr. Dziś we czwartek: „Nitouche“, operetka w 3 aktach a 4 odsłonach Hervé'go. — Jutro w piątek: „Pogromicielka zwierząt“, krotochwila w trzech aktach przez Grenet Dancourd i Jerzego Bertel.

Sport.

Wyścigi konne w Wiedniu.

Dzień piąty 30 maja.

Bieg próby ogierów, nagroda 2000 zł. pierwszemu, 300 zł. drugiemu koniowi, dla ogierów dwu i trzyletnich, meta 1000 metrów. Biegało koni 4.

A. hr. Henckla ogier gniady 2letni „Cerberus“ po „Paucake“ od „Kamilla“ 1, Z. br. Uechtritza ogier kasztanowaty 2letni „Kozma“ 2.

Nagroda Parsifala. Handicap, 3000 zł. zwycięzcy, a 500 zł. drugiemu koniowi, meta 1600 metrów. Biegało koni 12.

A. Egyediego ogier gniady 3letni „Filko“ po „Gunnersbury“ od „Figdety“ 1, Z. br. Uechtritza ogier kasztanowaty 5letni „Beenczur“ 2.

* * *

Tegoż dnia w myśliwskim biegu oficerskim podporucznik Zdzisław Pieńczykowski jeździł na koniu podporucznika hr. Braidy gniadym pełnoletnim wałachu „Sever“, widocznie jednak koń iść nie mógł, bo musiał być w ciągu biegu wstrzymany.

* * *

Tego samego dnia w biegu sprzedaży koni dwuletnich klacz gniada M. hr. Esterhazego „Schon wieder“ złamała nogę w pęcinie i musiała być zastrzeloną na miejscu.

* * *

Szósty dzień wyścigów 1 czerwca był bardzo nudny. Najważniejszym tego dnia biegiem był bieg o nagrodę Buccaneera 5000 zł. zwycięzcy, 800 zł. drugiemu, a 200 zł. trzeciemu koniowi, meta 3200 metrów; nie wzbudził jednak zajęcia, które sobie po nim obiecywano, bo zapisany do niego „Primas II“ E. Blaskovitsa i jenerała Kodolitscha „Espoir“ nie stanęły do walki.

G. bar. Podmaniczkiego ogier kasztanowaty 3letni „Vocativus“ po „Waisenknabe“ od „Conflagration“ 1, a R. hr. Kinskyego ogier gniady 3letni „Intrigant“ 2. Biegało koni 5.

O nagrodę Dam, honorową, i 1000 zł. dla zwycięzcy, 200 zł. dla drugiego konia, meta 2000 metrów, ubiegały się pod panami 3 konie.

N. Keczera ogier gniady 4letni „Eikonogen“ po „Arcadianie“ od „Jauerling“, jeździec I. G. Cookman, 1; A. Drehera ogier kasztan. 4letni „Dornbusch“, jeździec E. Dreher, 2.

Nagroda Trudom, bieg z płotami, 2000 zł. zwycięzcy, 300 zł. drugiemu koniowi, meta 2400 metrów. Biegały 2 konie.

F. ks. Auersperga ogier kasztanowaty 4letni „Turul“ po „Barcaldine“ od „Thorgunna“ 1, R. True'go ogier gniady 4letni „Stróż“ 2.

* * *

Tego samego dnia co Derby austryackie, tj. 28 maja rozegrało się też w Chantilly pod Paryżem Derby francuskie o nagrodę Gockey-Clubu 75.000 franków, meta 2400 metr.

A. br. Schicklera ogier gniady 3letni „Ragotsky“ po „Perplexe“ od „Csardas“ 1. Tego samego ogier kasztanowaty 3letni „Fousi Yama“ 2. Biegało koni 14.

Na uwagę zasługuje okoliczność, że w zeszłym roku w tym samym biegu dwa konie tego samego właściciela „Chêne Royal“ i „Fra Angelico“ były także pierwszym i drugim. W tym biegu czwartym był ogier kasztan. 3letni „Loiser“ J. Wysockiego.

* * *

Dnia 31 maja odbyło się w Epsom w Anglii Derby angielskie sto czternaste od czasu założenia, największy na świecie bieg koni trzyletnich; prześliczna pogoda sprzyjała wyścigom, a setki tysięcy publiczności zaległy tor wyścigowy w Epsom. Setki pociągów przywoziły ciekawych z Londynu i innych stron Anglii, a zacząwszy od ks. Walii, były na torze wszystkie wybitne osobistości kraju. Był też i Krystyn ks. Schleswig-Holstein.

W tym roku ani jeden koń obcy nie stanął w szranki, a H. Mac Calmonta ogier gniady 3letni „Isinglass“ z łatwością pobił dziesięciu współzawodników. Zwycięstwo to z góry było przewidziane.

Trzyletni „Isinglass“ dotychczas wygrał w nagrodach, na austryackie pieniądze licząc, 216.900 zł.

Część ekonomiczna.

Wiedeń 6 czerwca.

(*Z*). Zapał, z jakim wczoraj wzięli się spekulanci do operacyi zwyżkowych, zniknął dziś zupełnie. W ciągu nocy zmieniła się bowiem scenerya, a na tak pogodnym wczoraj horyzoncie pokazały się dziś chmurki. Wrażenie wywołane wczoraj pokojowem oświadczeniem hr. Kalnoky'ego popsuła dziś mowa wygłoszona przez francuskiego senatora Gobleta przy odsłonięciu pomnika w Courbevoie, pełna odwetowych pogróżek. Do tego z Węgier, gdzie niedawno jeszcze rozpaczano z powodu braku deszczu, nadchodzą teraz ustawiczne skargi, że już go za wiele i że jeżeli śluzy niebieskie czemprędzej się nie zamkną, wówczas powodzie zniszczą to, co miało paść ofiarą posuchy. — To też spadły dotkliwie walory kolejowe, które z nastaniem pory deszczowej powetowały były wszystkie dawniejsze zniżki, a targ berliński zmieniał dziś kilka razy tendencyę. Bodźca pewnego dodawała dalsza haussa rubla, potem nastał popłoch wywołany pogłoską o wybuchu cholery na Podolu. Pogłosce tej jednak zaprzeczono urzędownie i zamknięcie targu odbyło się znów w lepszem usposobieniu. — Walory amerykańskie poprawiły się w Londynie na wiadomość, że prezydent Cleveland oświadczyć miał w gronie znajomych, że w przemowie swej, którą będzie miał do kongresu zebrać się mającego we wrześniu, wyrazi nadzieję, iż Amerykanie przecież raz porzucą szaloną myśl skupywania srebra za swe drogie złoto.

Ostatnie notowania:

Kredyty austr. 341·—, węgierskie 408·25, Anglobanki 151·50, Uniony 257·50, Bankvereiny 123·25, Länderbanki 253·—, Ludwiki 218·—, Czerniowieckie 258·—, Renta papierowa 98·30, srebrna 98·10, austryacka złota 117·35, 4% austr. renta wal. kor. 96·50, węgierska złota 116·15, 4% węgierska renta wal. kor. 95·05, dukat 5·82, 20-frankówka 9·78½, marki 12·02—, ruble 1·30¼.

§ **Targ na nierogaciznę.** Na wtorkowy targ w Wiedniu dowieziono 1700 sztuk galicyjskiej żywej nierogacizny, płacono 36—40 zł., za towar przedni 40—43 zł. za 100 kilo żywej wagi.

§ **Z krakowskiego Zakładu kontumacyjnego.** Targ na nierogaciznę. Przypędzono dnia 5 czerwca na targ 1362 sztuk. Notowano prosięta: Chude 27 zł. 50 ct. — Mięsne 49—56 zł. Tuczne —·—. Wszystko za 1 parę żywych sztuk. — Mięsne 37—38 ct. za kilo. Tuczne 42 ct. za kilo.

Załadowano 1334 sztuk na wywóz przeważnie do Czech. Sztuk 28 sprzedano do miasta. Spodziewany przypęd na targ d. 12 czerwca około 3.000 sztuk. *Gottlieb*, dyrektor targu.

§ **Giełda zbożowa.** Wiedeń 7 czerwca. Pszenica na czerwiec 8·40, na jesień 8·72, żyto na jesień 7·81.

Telegramy „Przeglądu“.

Wiedeń 8 czerwca. W nieustającej komisyi przemysłowej rozpoczęto wczoraj przesłuchiwać ekspertów ze stanu handlowego, tudzież z zawodu szynkarskiego. Dwaj eksperci oświadczyli się za tem, żeby od kupców żądano uzdolnienia, pięciu zaś oświadczyło się przeciw temu.

Arcyksiężna wdowa Stefania udała się wczoraj wieczorem w podróż do krajów północnych.

W komisyi petycyjnej delegacyi austryackiej złożył wczoraj minister wojny br. Bauer w sprawie reskryptu o udziale oficerów rezerwowych w stowarzyszeniach studenckich takie samo oświadczenie, jakie złożył był w delegacyi węgierskiej. Minister oświadczył, że hałas wywołany tą sprawą jest niepotrzebny, gdyż w reskrypcie swym polecił on komendantom zwrócić uwagę oficerów rezerwowych na to, że należąc do pewnych stowarzyszeń studenckich mogą czasem popaść w kolizyę z władzami wojskowemi, ale nic nie zakazywał. W obec tego nie ma potrzeby nic cofać z tego reskryptu, a cofniętem zostanie tylko to, co komendanci z własnej inicyatywy dodali. — Jeden z delegatów zapytał, czy należenie jednorocznych ochotników do towarzystw studenckich jest przeszkodą w osiągnięciu stopnia oficerskiego. Minister zaprzeczył temu.

Czerniowce 8 czerwca. Woda w rzekach opada, mimo to jednak nadchodzą ze wszystkich stron Bukowiny doniesienia o nowych powodziach. Kryty most na rzece Suczawie, przez który prowadzi gościniec do Ickan, runął, zerwało także dwa inne mosty rządowe. Koło stacyi Hadikfalva wykoleił się wczoraj skutkiem podmycia nasypu kolejowego, pociąg pospieszny zdążający z Czerniowiec do Jass. Z ludzi nie doznał na szczęście nikt uszkodzenia. Miasto Radowce zalane tak dalece, że musiano delożować wielu mieszkańców. Pola w okolicy Czerniowiec znajdują się na 2 metry pod wodą, miastu jednak nie zagraża żadne niebezpieczeństwo. Komunikacya pocztowa i telegraficzna w wielu miejscach przerwana. Szkody, zrządzone wylewami, nawet w przybliżeniu nie dadzą się oznaczyć.

Paryż 8 czerwca. W mieście Nimes umarł jeden człowiek w śród objawów cholery. W Alais szerzy się choleryna.

Londyn 8 czerwca. W izbie niższej w toku wczorajszej debaty nad bilem o samorządzie Irlandyi, postawił Brodrick wniosek, aby orzeczono w tem bilu, że parlament irlandzki nie ma prawa wydawać ustaw o osiedlaniu się i wydalaniu cudzoziemców, tudzież o prawach Anglików, mieszkających w Irlandyi. — Morley wykazywał, że cel tej poprawki zostanie osiągnięty, jeżeli ona ograniczoną zostanie tylko do cudzoziemców. Morley postawił w tej mierze odpowiedni wniosek, który przyjęto 328 głosami przeciw 139.

Paryż 8 czerwca. *Figaro* donosi, iż Carnot zachorował na wątrobę, i że wkrótce uda się do kąpiel.

Buenos Aires 8 czerwca. Cały gabinet podał się do dymisyi.

Przyjechali do Lwowa

dnia 8 czerwca 1893.

HOTEL FRANCUSKI. W. Younga z Porzyc. J. Unger z Wiednia. A. Koscherak z Wiednia. R. Arnold z Wiednia. J. Kellermann z Kańczugi. C. Blumrich, E. Herzberg i K. Pollitzer z Wiednia. M. Roderowa ze Złoczowa.

HOTEL EUROPEJSKI. A. Regele z Wiednia. P. Ressler z Melen. B. Łastowiecki ze Strzelec. A. Stecki z Wołynia. A. Stecki z Srodopolca. M. Chojecki z Równego.

HOTEL IMPERIAL. T. Szczepanowski z Wiednia W. hr. Baworowski z Tarnopola. B. Chuwes, M. Koranyi i A. Breuer z Wiednia. T. Wysocki z Uwina. O. Teodorowicz z Russowa. F. Górski z Rykowa. H. Arnold z Bukaresztu. T. Niementowski z Kołomyi.

HOTEL ZORZA. E. Gralewski i dr. St. Grudziński z Krakowa. J. hr. Czosnowski z Ożomli. B. hr. Stecki z Nadycza. W. Biechoński z Gorlic. St. hr. Dzieduszycki z Gwoźdźca. W. Kęplicz z Romanowego Sioła. T. Potocki z Uhrynia. A. Zawisza z Polski. P. Zichardt z Wiednia. W. Hofmann z N. Karoly.

HOTEL METROPOLE. Wojciechowski z Dąbrowy. Fzsek z Czortkowa. Hulimka z Chłopiatyna. Mahnowa z Truścianiec. Strocki z Bursztyna.

Nadesłane.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona na siebie za nią żadnej odpowiedzialności.

Telegram giełdowy.

Wiedeń dnia 8 Czerwca godz. 2. min.

Akcye kred.	343·75	Galicyj. obligi propinacyjne	97.50
Alpiny	50.90	Wied. losy	177·50
Kredyty węg.	407·50	Akcye tyton.	182·50
Anglobanki	150·50	4% Poż. kraj. z r. 1893	96.10
Uniony	255·—	Elbethale	238·50
Ludwiki	218·—	Länderbanki	254·75
Nordbany	296·—	Renta zł. węg.	116·05
Lombardy	103·37	Bankvereiny	123·75
Losy tureckie	50·25	Węg. renta p.	95·—
Staatsbahny	308·50	Ruble	130·25
Czerniowieckie	258·50		

Usposobienie chwiejne.

Lwów. Z Izby handlowej 8 czerwca 1893.

1. Akcye za sztukę.

bez kuponu bieżącego bez dywidendy.

	płacą		żądają	
Kolej galic. Kar. Lud. 200 zł. w. a.	217	50	220	50
„ Lwow.-czer.-jass. 200 zł. w. a.	257	50	260	50
Banku hipotecz. galic. 200 zł. w. a.	370	—	—	—
„ kredyt. galic. 200 zł. w. a.	—	—	215	—

Listy zastawne za 100 zł.

Banku hip. galic. 5% los. w lat. 40	101	10	101	80
Banku hip. galic. 5% z 10% pr.	110	15	110	85
Banku hip. 4½% wa. los. w 50 lat.	100	—	100	70
Banku krajowego 4½% wa.	100	50	101	20
Tow. kred. galic. 4% I-sza emisya	98	50	—	—
„ „ „ 4% „ 41½	97	—	—	—
„ „ „ 4½% „ 52 lat.	100	50	101	20
„ „ „ 4 „ 56 lat.	97	20	—	—

4. Obligi za 100 zł.

Galic. fund. propinacyjnego 4%	97	30	98	—
Bukow. fund. propin. 5% w. a.	102	50	—	—
Kom. banku kraj. 5 prc. w. a. II em.	102	25	—	—
Pożyczka kraj. 6%	105	—	—	—
„ „ 4½%	100	30	101	—
„ „ 4%	96	—	—	—
„ „ 4% koronna	96	—	96	70

5. Losy.

Losy miasta Krakowa	23	—	25	—
„ „ Stanisławowa . . .	41	—	—	—

6. Monety.

Dukat holenderski	5.75	5.85
Napoleondor	9.73	9.83
Półimperyał rosyjski	9.90	—.—
Rubel rosyjski srebrny	1.30—	1.33—
„ „ papierowy	1.29¼	1·31¼
100 marek niemieckich	59.90 —	60·50

50)

FATALNA POMYŁKA.

POWIEŚĆ W DWÓCH TOMACH

przez

A. B. EDWARDA.

Tłómaczyła z angielskiego Zofia baronowa Harting.

(Ciąg dalszy).

— Co to jest, Tipoo? Czyż nie mówiłem ci, żeby przygotować pawilon?

— Sahibie, pawilon był zajęty.

— Mille tonnerres! Pamiętaj, żebym jutro miał zielony salon z oknami wychodzącemi na rzekę.

— Tak, sahibie.

— Widzisz, Barbarino — tłómaczył się Hugon — mam wszędzie moje uprzywilejowane apartamenta, a obowiązkiem Tipoo jest przygotowywać je naprzód. Jestem także nieco wybrednym pod względem kuchni. Nie mogę jeść tych szkaradnych europejskich potraw. Muszę mieć moje indyjskie przysmaki i jak sir Ekupir Mamon delektować się słowiczemi językami i racicami wielbłądów. To też Tipoo wyprzedza mnie zawsze, aby przysposobić mieszkanie, zarówno jak obiad. No, maleńka, nie miej wystraszonej minki. Pomyślałem o ciastach, słodyczach, pasztetach i innych tym podobnych damskich łakociach. Nie mam przecie zamiaru zagłodzić cię w drodze.

— A cóż to za zielony salon, o którym wspomniałeś przed chwilą?

— To w Koblencyi, gdzie jutro znów wypadnie nam przenocować. Ale czy nie zechcesz przejść do twego pokoju, maleńka, bo za chwilę podadzą obiad.

Pospieszyłam więc poprawić nieco nieład podróżnej mojej tealety, poczem wróciłam do salonu, gdzie obiadowaliśmy z wielką paradą, obsługiwani przez Tipooa, stojącego za krzesłem pana, i dwóch przydanych mu kelnerów.

Pomimo tej etykiety, obiad przeszedł wesoło, dzięki niewyczerpanemu dobremu humorowi mego towarzysza. O zmroku poszliśmy się przejść po ulicach i obejrzeć katedrę, dom, gdzie się Göthe urodził, i złocony kogucik na wieżyczce, któremu poeta lubił się dzieckiem przyglądać w słońcu. Gdy się zupełnie ściemniło na dworze, wróciliśmy do hotelu, gdzie nam podano kawę, a Tipoo wydostał dla pana znany mi nargil ze spirytusową lampką, stojącą wpośrodku srebrnej miedniczki. Czując się nieco znużoną, życzyłam Hugonowi dobrej nocy i udałam się do mego pokoju na spoczynek.

Nazajutrz podano nam śniadanie jeszcze przed szóstą, gdyż mieliśmy przed sobą daleką i nużącą drogę. Zamiast do dyliżansu natłoczonego pasażerami, wsiedliśmy do czekającego nas u bramy hotelu eleganckiego, otwartego powozu, zaprzężonego w cztery pocztowe konie z dzwonkami i rozetami u szyi. Właściciel i kelnerzy kłaniali nam się nizko, nazywając Hugona milordem, a mnie milady. Mali ulicznicy, zbici w ciekawą gromadkę podnieśli okrzyk, gdy ekwipaż nasz ruszył pędem z miejsca, i przypominam sobie, jak żałowałam, że poczciwi mieszkańcy Frankfurtu leżeli jeszcze pogrążeni w śnie, skutkiem czego nie byli świadkami naszego pompatycznego wyjazdu.

Dzień był cudownie piękny, to też rozkoszowaliśmy się nim przy odgłosie dzwonków pocztowych i śpiewu ptasząt. Byliśmy sami tylko we dwoje, Tipoo bowiem, jak zwykle, wyjechał naprzód; groom i konie pozostały w tyle, a jeżeli kiedy niekiedy wspomnienie pani Brenner przejmowało mnie skruchą, starałam się coprędzej oddalić te myśli, oddając się cała rozkoszy obecnej chwili. Co dwie godziny przeprzęgaliśmy konie, a około jedenastej dotarliśmy do oryginalnego miasteczka, gdzie właśnie odbywał się kiermasz i popis strzelniczy zarazem. Tu nasz przyjazd ogromny popłoch i podziw wywołał pomiędzy prostaczą ludnością, nieprzywykłą do oglądania takich splendorów. Ulice roiły się włościanami, plac miejski zapełniony był kramami, zajazdy i jadłodajnie natłoczone gośćmi, strzelcy w zielonych kurtkach i spiczastych kapeluszach z piórami, stali zbici w gromadki w progu szynków; dziewczęta wiejskie o szerokich plecach, rumianych policzkach, z obnażonemi głowami stały w słońcu, szwargocząc głośno między sobą i chrupiąc pumpernikle, a w powietrzu rozlegał się gwar śmiechów, rozmów, muzyki, tańców ludowych i wystrzałów. Zdobywszy z trudnością osobny pokój w głównym zajeździe, poszliśmy się przejść po mieście, podczas kiedy przyrządzano nam naprędce śniadanie.

Był to w całem znaczeniu niemiecki Volksfest, a kramy i sklepiki przeładowane były wyrobami krajowego przemysłu. Więc były tam grzebienie, cygara, niegarbowane skóry, fałszywe biżuterye z czeskiem szkłem, tak drogie sercom germańskich Madchen, torby myśliwskie, ozdobione czerwoną frendzlą, dzbany i kufle z niebieskiego fajansu, pokryte hieroglifami, zabawki norymberskie, lampki olejne w kształcie przypominającym nieco rzymskie amfory, szkła bawarskie, czerwone, jaskrawe parasole, pierniki, szczotki, wyroby nożownicze, krawaty, drewniane chodaki i łuki, nie mówiąc już o niezliczonej ilości fajek i cybuchów różnego kształtu i gatunku.

Zmięszani z hałaśliwym i jaskrawym tłumem, Hugon i ja przesunęliśmy się przez długi szpaler kramików i przez starą, gotycką, miejską bramę wyszliśmy na łąkę, której część odgrodzona została na plac popisu trzelniczego, podczas gdy na drugiej jej połowie porozpinano namioty i porozstawiano budy z napisem „Tanz-Musik“ u wejścia. W każdej z nich po kilkanaście i więcej par tanecznych wirowało z zapałem mimo tropikalnego upału; w innych znów popisywali się skoczkowie, kuglarze i atleci; maryonetki poruszały się przy odgłosie chrapliwej żydowskiej orkiestry, lub ciężkie karuzele skrzypiąc obracały się dokoła.

Pod płóciennymi namiotami, rozpiętymi dokoła, tłumy rozweselonych i podpiłych biesiadników raczyły się u stołu wędzoną kiełbasą, chlebem i serem szwajcarskim, a butelki reńskiego wina i dzbany bawarskiego piwa, przy odgłosie bawarskich pieśni krążyły dokoła, podczas kiedy dym z fajek zaciemniał powietrze.

Wydostawszy się na plac strzelniczy, ujrzeliśmy kilkudziesięciu zjednoczonych strzelców, ubranych w charakterystyczne kapelusze i kurtki, zebranych w jedno gwarne koło. Po drugiej stronie stały trzy tarcze, a w małym, przybocznym namiocie leżały porozkładane nagrody, przeznaczone dla zwycięzców.

— Ustąpcie się, meine Herren! - zawołał kolektor, widząc, że się zbliżamy do furtki. — Ustąpcie na stronę i pozwólcie jego ekscelencyi spróbować strzału.

Hugon roześmiał się i potrząsnął głową.

— Dziękuję ci, przyjacielu — rzekł. — Nie mam strzelby.

— To nic nie szkodzi, ekscelencyo. Tu ich mamy pełno do wyboru. Ot, proszę patrzeć.

To mówiąc, wskazał na szereg starych dubeltówek, przypartych do ściany.

— Może wasza wielmożność raczy przyjąć moją? — spytał przystojny, młody strzelec, występując naprzód.

Choć mówił grzecznie, zdawało mi się, że podchwyciłam odcień szyderstwa w jego tonie; to też zarumieniwszy się z gniewu i pochyliwszy się, szepnęłam:

— Weź ją, Hugonie. Ci ludzie myślą, że ty nie umiesz strzelać.

— To i cóż z tego, carino? Zostaw ich w tem mniemaniu. Są to najlepsi strzelcy w świecie, z wyjątkiem Tyrolczyków.

— Ale ty nie ustępujesz najlepszemu strzelcowi.

— Strzelam dobrze, to prawda, ale...

— Ale oni nie uwierzą temu na słowo. Patrz, uśmiechają się niedowierzająco. Proszę cię... proszę... weź strzelbę tego człowieka i pokaż im, co umiesz.

Roześmiał się i wziął broń do ręki.

— Ta pani życzy sobie tego, więc przyjmuję twoją przysługę, przyjacielu i dziękuję ci. No honor, ciężka broń i ramię może zaboleć od niej, gdy się z nią cały dzień chodzi po górach.

— My, górale, za nic sobie ważymy taki ciężar — śmiało odparł piękny strzelec, wygiąwszy nieco pogardliwie usta. — Ja pochodzę z Schwarzwaldu i całemi dniami noszę tę flintę, wspinając się po stromych szczytach najwyższych skał. Ostrożnie, ekscelencyo, bo dosyć dmuchnąć, aby odwieźć kurek.

Ale Hugon bawił się strzelbą, nie zdając się słyszeć przestrogi.

— Na jakim dystansie stoi wasza tarcza? — zapytał. — Trzysta kroków zapewne.

— Dwieście pięćdziesiąt, ekscelencyo — odparł rachmistrz.

Hugon podniósł broń do ramienia i wystrzelił, nie celując prawie.

— Stójcie! — krzyknął, gdy pół tuzina mężczyzn rzuciło się ku celowi. — Stójcie! Dam drugi strzał... Czy mi kto pożyczy drugiej flinty.

Jeden z obecnych podał mu niezwłocznie swoją.

Hugon wystrzelił powtórnie.

— A teraz — odezwał się niedbale — poszukajcie kul.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Odpowiedzialny redaktor: Wacław Wasiłowski. Papier braci Fijałkowskich w Białej. Z drukarni nar. W. Manieckiego. — Zarządca: Walenty Fodak.